

Kamena

LUBLIN 30.VI.1967 Nr 12 (369) R. XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

MISTRZ PIĘŚCI i pięć mistrza

IERZY DOSTATNI

W RINGU na tę cześć podium zwycięzców, która jest oznaczona cyfrą 1, wchodzi się po dwóch stopniach. Ale mistrzowie pokonują wysokość jednym skokiem. Są przecież najlepszymi w danej kategorii — w krainie, na kontynencie. Z pograżonej w ciemności sali płyną głośne oklaski i trochę gwizdów. Na pochylonej szyi zwycięzcy przedstawiciel międzynarodowej federacji zawieszają srebrny medal na długiej wstędze, uroczą dziewczyna wręcza wianek kwiatów. Z głośników płynie hejnał, na chwilę nieruchomieją kamery telewizyjne i mikrofony radiowe. Zadzyszany jeszcze mistrz nie może się zdobyć nawet na stereotypowy uśmiech...

Na najwyższe podium prowadzą dwa stopnie, na ring sześć lub siedem. Które z nich jest trudniej przebyć? Na których najczęściej kończą się marzenia, sny o sławie, medalach i pucharach, oraz niekiedy o tym, co nazywamy nagrodami rzeczowymi?

Nasz mistrz znalazł się w Pałazzo dole niepodziwianie. Przynajmniej dla wielu kibiców. Mimo, że w jego pięćdziesiątce zawodniczej zanotowano dotychczas 125 pojedynków na pięści — w tym tylko 5 przegranych i 3 remisowych. Był już mistrzem swego kraju w kategorii juniorów, ale tu — do Pałazzo — zechcieli się mistrzowie seniorów z całego kontynentu.

Jakie ma szanse on, drobny, szczupły blondyn z nieco przydługim nosem, jakby proszącym się o to, by go spłaszczyć jednym ciosem i wygrać przed czasem? Na ringu przyznał mistrz umiał dotychczas wykonać każdą szansę. W życiu prywatnym bywał różnie. Pierwszą szansę przegrał już przed 20 laty, gdy niespodziewanie umarł ojciec, inżynier pracujący w dalekim kraju na emigracji. W jednym dniu zawalilo się wszystko. W obcym kraju potrzebują ludzi do ciężkiej pracy, ale potem nie chcą płacić rent i ubezpieczeń. Biały murzyn zrobił swoje — żona bez zawodu i małe dziecko niech wracają do kraju.

Wrócił. Ale kraju po straszliwej wojnie też nie było stać na sentymenty. Matka najpierw znalazła pracę, a potem drugiego męża. To że był robotnikiem, niczego nie przesądzało. Ale jego charakter, upo-

dobania, postępowanie — wszystko to w określony sposób wpływało na pasierba. Chłopiec więc wychowywał się najpierw na podwórku, potem na ulicy, wreszcie w kręgach młodzieży, którą dopiero później nazywano chuligańską. Oczywiście wszystko to pociągało za sobą nieuniknione konsekwencje. Najpierw dziecko, a potem młodzieniec coraz częściej przekonywał się, że w rejonach, w których przebywał, najczęściej decydowało prawo silniejszego. Prawo pięści. Więc zaczął dbać o to, aby unikać skutków uderzenia cudzej pięści, a własną osiągać to, co uważał za słuszne i sprawiedliwe.

Oczywiście chodził na mecze bokserskie. Na te, gdzie bilety były najtańsze, a więc tam, gdzie o zwycięstwie decydowała nie tyle technika i taktyka, ile siła uderzenia i zaciekleść. Pewnego dnia zgłosił się do trenera małego klubu. We własnym kręgu kolegów, wśród których nie miał zresztą ani jednego przyjaciela, zawsze był najlepszy. Postanowił się zmierzyć z tymi, którzy występowali na ringach. Dotychczasowe jego zwycięstwa na podwórkach i ulicach narażały go niemal zawsze na konflikty. A tutaj tym, którzy lepiej biją, dają medale, dyplomy, kwiaty. Do zwycięzców uśmiechają się dziewczyny, porozumiewawczo mrugają dorośli. O zwycięzcy z ulicy gazety piszą w kronice milicyjnej, o zwycięzcy z ringu na czołowych miejscach. Tam z pogardą, tu z uznaniem.

Został więc adeptem boks. Trenerzy i działacze szybko zorientowali się, że adept ma nie tylko silne uderzenie, ale i talent. Uzewnętrznił się on w znakomitym refleksie, co oznaczało, że uchylał głowę lub inną część ciała o ułamek sekundy wcześniej niż dochodziła pięść przeciwnika, sam uderzał wcześniej także o ułamek sekundy. Nie tylko uderzał celnie, ale także był odporny na ewentualne ciosy innych. Nie pozostawało więc nic innego, jak przez trening powiększyć te wartości. Z systematycznością treningu różnie bywało. Niekiedy spóźniał się trener, częściej nie przychodził adept. Miał jednak talent i trochę szczęścia, szybko z adepta zamienił się w boksera, który klubowi dostarczał w każdym spotkaniu dwa punkty. Potem wypłynął na szersze wody i dostarczał punktów okręgo-

wi, wreszcie reprezentacji kraju. Posypały się dyplomy, medale, kwiaty, uśmiechy dziewcząt i mrugania dorosłych.

Ale nawet najlepszy bokser to nie tylko maszyna do bicia. To również człowiek, który musi coś robić poza treningiem i poza ringiem. Zapisano więc boksera do zasadniczej szkoły zawodowej. I tu właśnie zaczyna się druga przegrana szansa życiowa boksera. Klub uważał, że zrobił wszystko, co do niego należało. Trener myślał tylko o tym, jak wzmocnić uderzenie pupila, działacze, jak przy jego pomocy powiększyć dorobek punktowy klubu. Ten i ów z nauczycieli — przysięgli kibice bokserski — przytykał oczy na błędy ortograficzne, kłopoty z tabliczką mnożenia. Nikt nie zajął się kształtowaniem charakteru istoty, która przecież była nie tylko bokserem, ale i człowiekiem. A on sam wierzył tylko w siłę swojej pięści i szybkość własnego refleksu. W nowym środowisku — szkoły, zakładu pracy, klubu — podziwiano jednak jego pięść. Nie dziwnego, że chciał nimi imponować nie tylko na ringu. Używał ich więc i w rozmowach prywatnych, i przy kiosku z piwem, i przy maszynie. Ktoś kiedyś zbuntował się i złożył skargę. Przeproszono go, a jakże, ale bokserowi nic nie powiedziano. Za drugim razem kilka ostrożnych słów, aby przypadkiem nie obraził się, aby nie zaprzestał treningów, aby nie przeniósł się do innego klubu. Zbliżały się przecież mistrzostwa kraju i ani trener, ani działacze klubu, ani nauczyciele-kibice, ani dyrektor zakładu pracy nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności za wysunięcie wniosków, które ewentualnie uniemożliwiłyby bokserowi startowanie w mistrzostwach. Tu też chodziło tylko o medal i tytuł. O człowieku nikt z najbliższych nie myślał.

A tymczasem młody człowiek z trudem ukończył tylko drugą klasę zasadniczej szkoły zawodowej. Powie później, że jest ślusarzem precyzyjnym — ale to nieprawda. Natomiast prawdą jest, że został mistrzem kraju juniorów. Jego nazwisko pojawia się w całej prasie krajowej. Pisma sportowe opatrują je całą serią przymiotników, coraz bardziej głośniejszych, coraz bardziej

(Dokończenie na str. 6)



Ruiny zamku w Kazimierzu

Fot. St. Siliwowski

Konserwatorzy czy konserwatyści?

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

PRZYLGNĘŁA do nich nazwa żelaznej opozycji. Kiedy wszyscy mówią „tak”, oni na pewno powiedzą „nie” — głosi obiegowa opinia. Często nie mogą znaleźć wspólnego języka z architektami, choć są z nimi nieco spokrewnieni. Nie darzą ich sympatią ludzie przemysłu. Rzadko otrzymują ordery, prasa interesuje się nimi tylko w wypadkach bliskich sensacji. Ustawa sejmowa i zarządzenie ministerialne dają im szerokie uprawnienia i obarczają licznymi obowiązkami, których realizacja wymaga olbrzymiego wysiłku. Wydają decyzje oparte na kompleksowym ujmowaniu problemów historii i kultury, a posiadani są o brak wyobraźni i mitomanii. Mowa o-

czywiście, o konserwatorach zabytków. Nie darzę zaufaniem potocznej opinii. W wielu wypadkach traci ona plotkarstwem, fabrykowanym dla doraźnych celów. Prawdą jest jednak, że konserwatorom daleko jeszcze do uzyskania pełnego autorytetu i zrozumienia u ludzi i instytucji, których działalność posiada jakiś pośredni związek z zabytkami naszej kultury i historii. Warto więc zastanowić się, czy ten klimat niechęci, tu i ówdzie wyraźnie uchwytny, posiada sensowne uzasadnienie.

Ustawa sejmowa z 1962 r. o ochronie dóbr kultury i o muzeach oddaje pod opiekę Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz konserwato-

(Dokończenie na str. 3)

Z problemów nowej prozy

Jaką miałem sprawę z Książką Brychta

MACIEJ PODGÓRSKI

ANDRZEJ Brycht pisał już wszystko. Reportaże, wiersze, szkice narracyjne, opowiadania. W jego tomie „Ulica Pomarańcza” (1963) znajduje się coś w rodzaju „Białych kwiatów”, z podtytułem „Bromans psychologiczno-kryminalny” (tak!). Ze zamieszkałym o kryminalkach „sensu stricto”, bo to autor traktuje chyba jako zarobkową chałturę. Wylizując gatunki, w których Brycht się sprawdzał, nie chce bryknąć sugerować, iż winien on w końcu podjąć mozoły mrówczej pracy nad 3-kilogramowym poematem epickim (wierszowa-

nym, a jakże!). Chcę natomiast powiedzieć, że Brycht mimo wszystko, do niedawna pozostawał dla mnie pisarzem jednej właściwie, niewielkiej książki, książki, którą się pamięta — zbioru relacji pt. „Suche trawy” (1961); oraz paru podobnych utworów z następnego tomu: „Opadanie ziemi” (1962).

Brycht szukał wówczas najprymarniejszej wiedzy o człowieku. Poza wszelką historiozofię czy metafizykę. — Na razie go nie chwale, stwierdzam tylko. — Oddajmy się do bohatera zaplątanego w historyczne i społeczne determinizmy, skrepowanego więzami kulturowych konwencji, pytał Brycht o możliwość autentycz-

mu jednostki. I znalazł ten autentyzm, ludzką tożsamość, spontaniczność reakcji i pożądań. W obrębie mrocznego świata podmiejskich lumpów i złodziei. Znalazł tam okrutne prawdy sięgające dna biologii i obłędu, ale też odnalazł najpierwsze ludzkie pragnienia: miłości, solidarności. Zaś lump Brychta, będąc jakoś wolnym, jest w gruncie rzeczy szczęśliwszy od wielu nas, choć może o tym... nie wie. Szczęśliwszy chyba niż sam autor, który, gdy „wyskoczył” ze swej boksero-kopalniano-więziennoksiążkowej ballady (mowa o faktach biograficznych), musiał ciężko kryminalkami na chleb zarabiać; nie sądzi, żeby pisarz mógł wtedy powtórzyć za bohaterem „Suchych traw”: „Był pieniędz i było tak samo, pieniądza nie ma i tak samo jest”. Bo w ogóle lumpowskie relacje Brychta to również swoisty model... tęsknoty za życiem nieskrepowanym wartościami w najmniejszym choćby stopniu umownymi, o czym nieraz za pominieli krytycy, polemizując z autorem.

Przed wszystkim jednak trzeba pamiętać, że — po pierwsze — konstatacje artystyczne pisarza wypływały nie tylko z mitologizacji własnej, dość specyficznej biografii, lecz również z ogólniejszej sytuacji

historycznej, w jakiej znalazło się jego pokolenie; oraz że — po wtóre — Brycht swoją mitologię bardzo konsekwentnie i pięknie opakował w formę wewnętrzną apolitej i wyważonej struktury narracyjnej. Materiał, z którego autor buduje świat „Suchych traw”, ujęty zostaje w kategoriach werystycznych i mocno osadza do pisarstwo w określonych rejonach rzeczywistości. Wyrzasta obserwacja obyczajowa, autentyczność lumpowskiego slangu i szczegółu fabularnego, stanowiące fakturę tej prozy, sprawiają, że postacie i wydarzenia demonstrowane przez autora jawią się w całej swej brylowatości i krwistości niejako, przez co zyskują swoistą realność; dotyczy to również samego narratora — wystylizowanego przeważnie na lumpa, który opowiada o swoich sprawach (dzięki temu zabiegowi wzmacnia się wrażenie surowej autentyczności przekazu). Trzeba przy tym wiedzieć, że w „Suchych trawach” unika Brycht zabawy w — zbędne — opisywactwo (szczególnie tutaj) modliwe wobec negujących perspektyw tzw. egotyki środowiskowej). Krótka, lapidarna fraza prezentuje narratora fakty i zdarzenia wyselekcjonowane i ułożone (przez autora) wokół zasadniczych kwestii książki; pomijam tu oczywiście dla prozy rea-

listycznej zasadę „zbędnego szczegółu”. Wszystko to wyznacza wewnętrzny porządek struktury „Suchych traw” jako tworu estetycznego, którego miarą jest sugestywność. Spośród piewów knajackiego świata, na taką siłę wyrazu, przy zbliżonej problematyce, zdobył się współcześnie tylko Marek Nowakowski.

Więc podobala mi się ta książka (później wydano Brychtowi „Opadanie ziemi” i „Ulicę Pomarańczową”, zbiory prozatorskie dość przypadkowo skomponowane, które nie przebiły „Suchych traw”); i do niedawna uważałem ją za najlepszy utwór pisarza.

Bardzo głośno i bardzo dobrze zaczęto mówić o Brychcie dopiero ostatnio, jako twórcy „Dancingu w kwatrze Hitlera” (1966), tomu zawierającego dwa większe opowiadania („Wycieczka: Auschwitz — Birkenau” oraz tytułowe). Chwalili krytycy, każdy za co innego: za autentyczność języka, za realistyczny obraz środowiska literatów, za „plebejską wściekłość” na snobistyczny, „nylonowy” model życia, lecz głównie za pamięć o fałszywostkach zbrodni — rzeczy pono niespotykane na obszarach młodej prozy. Chwalili dyskretnie

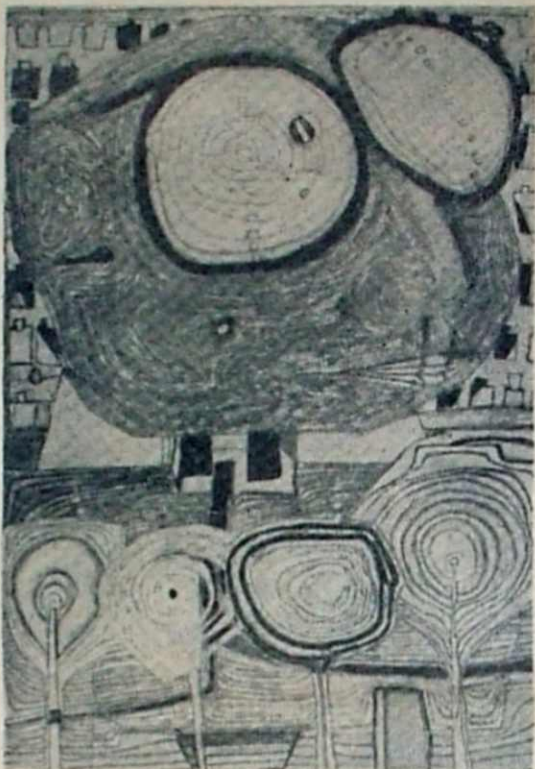
(Dokończenie na str. 3)



Literatura

W chwili, gdy drukuje się nasz numer, w Toruniu odbywa się IX Festiwal Wiosny Polskiej Północy. Jest to najstarszy w Polsce festiwal teatralny.

Nazwę „Mollera Północy” nadano w osiemnastym wieku znakomitemu dramaturgowi duńskiemu Ludwigiowi Holbergowi (1684-1748), ojcu komedii duńskiej; wywarł on doniosły wpływ na rozwój rodzimej literatury w Danii i Norwegii, a w obu tych krajach początek osiemnastego wieku nosi miano „wieku Holberga”. Obecnie na scenie Teatru Nowego w Łodzi wchodzi po raz pierwszy grana w Polsce komedia Holberga (I pierwsza z jego sztuk w naszym kraju), „Bisazur burmistrz” („Den politiske Kandestøber”) w przekładzie Stanisława Kaszyńskiego, który poświęcił „Mollerowi Północy” i jego twórczości obszerny artykuł.



Chcę malować zagadkowo i jestem najbardziej zadowolony, gdy uplynie wiele lat, zanim treść moich obrazów zostanie rozszyfrowana. Miałem, że trzeba pewnego talentu, aby malować rzeczy nie zawsze zrozumiałe młodym ludziom. 29-letni malarz austriacki Friedrich Stowasser, znany w świecie artystycznym pod pseudonimem Hundertwasser. Oto obraz, któremu dał tytuł „Automobilista w nocy”.

Pierwszą nagrodę im. dr Alberta Schweitzera otrzymał anonimowy autor książki „Jestem schizofrenikiem”. Poniżej z góry zrekł się wszelkich praw autorskich, 5 tys. franków franc. otrzymała szpitalna psychiatryczna. Ma Szustang, któremu w grudniu ub. roku udało się wraz z całą rodziną opuścić Chin, a który był dyrektorem konserwatorium muzycznego w Pekinie, jest skrypką i kompozytorem — przygotowuje książkę o rewolucji kulturalnej w dziedzinie kultury.

Pisarze radzieccy uczcili 75 rocznicę urodzin wybitnego prozaika rosyjskiego, Konstantego Paustowskiego. Podczas wieczoru, który odbył się w Moskwie 21 maja br., mówiono o Paustowskim jako o najwybitniejszym przedstawicielu kierunku romantycznego w prozie rosyjskiej ostatniego czterdziestolecia, o wsławnym znawcy języka rosyjskiego, o subtelnym stylisic, o szlachetnym człowieku.

Książki Paustowskiego ukazały się w Związku Radzieckim 23 razy w 42 językach, w nakładzie przeszło 11 milionów egzemplarzy. Utwory jego doczekają się licznych przekładów na wiele języków.

25 stronowy rękopis opowiadania Hemingwaya „Czarny osioł” sprzedany został na aukcji w Nowym Jorku za 6250 dolarów.

Na konkurs czystej literatury LOK i MON nadano 219 tys. kopert, przeczytano 630 tys. książek. Najwięcej głosów otrzymała książka Adama Bakalarczyka „Lefnie boje”, następnie Józefa Sobieszka „Brygada Grunwald”.

W roku ub. PWN wydało 1230 tytułów, PZWN 375, Ossolineum 292, Czytelnik 239, Nasza Księgarnia 227, PIW 201, Książka i Wiedza 192.

Na scenie kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie odbyła się premiera sztuki Jarosława Iwaszkiewicza „Kosmogonia” w reżyserii Józefa Grudy. Autor określa sztukę jako „opowiadanie w 2 aktach”.

Teatr w Tuzie (Jugosławia) przygotowuje na inaugurację nowego sezonu adaptację sceniczną książki Marcjana Fornalskiej „Pamiętnik matki”. Premiera odbędzie się 2 października, w Opolu.

Teatr w Tuzie (Jugosławia) przygotowuje na inaugurację nowego sezonu adaptację sceniczną książki Marcjana Fornalskiej „Pamiętnik matki”. Premiera odbędzie się 2 października, w Opolu.

Teatr w Tuzie (Jugosławia) przygotowuje na inaugurację nowego sezonu adaptację sceniczną książki Marcjana Fornalskiej „Pamiętnik matki”. Premiera odbędzie się 2 października, w Opolu.

Teatr w Tuzie (Jugosławia) przygotowuje na inaugurację nowego sezonu adaptację sceniczną książki Marcjana Fornalskiej „Pamiętnik matki”. Premiera odbędzie się 2 października, w Opolu.

rocznicę wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej. Reżyseruje Alina Obidniak — kierownik artystyczny teatru im. Wacława Bogusławskiego w Kaliszu.

Dziennik „Rude Pravo” zamieszcza recenzję Vladimira Procańskiego poświęconą dwóm polskim sztukom granym obecnie w czeskosłowackich teatrach. Są to „Powrót syna marbońdzkiego” Romana Landstettera (państwowy teatr w Brnie) i „Cierniocy” Jerzego Andrzejkiewicza (teatr S. K. Neumanna w Pradze).

Opery Bałtycka w Gdańsku wystąpiła z grą premierą trzech nowych oper. Balety Zbigniewa Tysiąca i osioł Agnieszki Osieckiej, „Niobe” Juliusza Łuciuła i Libretto Aleksandra Szokiej oraz „Wesołe miasteczko” Stefana Kisielewskiego z librettem Haliny Kołczakowskiej. Szeregowe zainteresowanie wzbudziło wykonanie utworów Turskiego i Łuciuła. Po premierze, z uwagi na nowocześniejszą muzykę o bardzo specyficznym ekspresji i dramatycznym, angażującym słuchacza wyrazie, po drugie, ze względu na osobę wykonawczyń tytułowych ról (Tysiąca i Niobe) — Alicji Boniusek, „Wesołe miasteczko” — to seria scenek muzycznych w stylu rozrywkowym.

Wystąpił znany zespół kameralny NRD „Nominat”, którego założycielami w Szczecinie roczny koncert kameralny „Przy świecach i kawie”. W okresie od 1 czerwca ub. r. artyści szczecińscy oraz przedstawiciele innych środowisk muzycznych w kraju i za granicą — dali ogółem 139 koncertów, zawsze przy szczelnie zapelnionej widowni.

Is czerwca w zabytkowej katedrze w Kamieniu Pomorskim zorganizowany został III Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej. Przez całe lato co piątek wieczory rozbrzmiewają najlepszą muzyką organową w wykonaniu nie tylko polskich ale i zagranicznych mistrzów. Organy kameralne, liczące dziś prawie 300 lat, należą do najpiękniejszych w Europie. Twórcą organów jest sławny XVII wiekowy mistrz szczeciński — Herigł. On to właśnie wykonał je na zamówienie ostatniego z książąt pomorskich księcia Bogusława Ernesta de Croj.

Halina Czerna-Stefańska koncertowała dwukrotnie w sali Orkiestra Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie. Pierwszy koncert przeznaczony był dla publiczności węgierskiej, drugi dla korpusu dyplomatycznego. Jednocześnie córka naszej wybitnej pianistki — Elżbieta Stefańska-Lukowicz dała w sali kameralnej Filharmonii Budapeszteńskiej koncert gry na klawiszach.

W Zagrzebiu zakończyło się Biennale muzyki współczesnej. Wśród muzyków zasługujących na największe uznanie prasa jugosłowiańska na pierwszym miejscu wymieniła Andrzeja Markowskiego. Wielkim uznaniem cieszyli się także utwory Krzysztofa Pendereckiego.

W Instytucie Kultury Polskiej w Londynie odbył się gościnny występ Andrzeja Wiolskiego oraz Bernarda Ładysa. Polscy artyści wykonali szereg utworów Chopina, Moniuszki, Schuberta i Czajkowskiego.

W Wilnie odbył się finał konkursu wykonawców polskiej pianistyki, zorganizowanego przez Prezidium Litewskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Radziecko-Polskiej i Wydział Kultury Wileńskiego Komitetu Wykonawczego. W imprezie, która przebiegała w kilku etapach i cieszyła się dużym zainteresowaniem, uczestniczyli śpiewacy różnych narodowości zamieszkujących Litwę.

W bieżącym roku — powiedział Casals — nie zamierzam ograniczać swych podróży. Otrzymałem zaproszenie z wielu krajów; z ZSRR, Polski, Kanady, Izraeli, Korei, USA i wielu innych krajów Europy. Pragnę tam usłyszeć moje oratorium antywojenne „El pesebre”. Terminy występów nie zostały jeszcze ustalone.

Międzynarodowy konkurs skrzypcowy im. królowej Belgii Elżbiety przyniósł triumf skrzypkowi radzieckiemu. Pierwsze miejsce zajął Filip Bircborn, trzecie Kremer, czwarte Nodet. Drugie miejsce zajęła Milanova (Bulgaria).

Muzyk szwajcarski Lionel Rogg nagral na płytach wszystkie utwory Bacha na organach, podobnie jak organista niemiecki Helmut Walcha.

Radio algierskie zaprzestało nadawania piosenek w stylu „ye-ye”. Wstrzymano także wyemitowanie filmów zachodnich we wszystkich kinach.

Staraniem grona melomanów i muzyków orkiestry symfonicznej powstał w Opolu Klub Muzyki Współczesnej. Klub organizuje spotkania z kompozytorami, audycje muzyki XX wieku oraz dyskusje.

Zamek Kazimierza Wielkiego w Opocznie będzie siedzibą muzeum regionalnego. Ekspozycja obejmie: stroje regionalne, tkaniny, kilimy, hafty, wycinanki wytworzone przez ludowych twórców regionu opoczyńskiego. W muzeum znajdą się także dokumenty i ekspozycje, przedstawiające historię regionu, dawne narzędzia pracy, ceramika, w tym kowalstwo oraz dawne monety znalezione m. in. w miejscowościach położonych nad Pilicą i Drzewiczką.

Największe w kraju muzeum budownictwa ludowego typu skansenowskiego, obejmującego 4 grupy etniczne — Pogorzań, Dojczan, Lemusów i Bojków, znajduje się w Sanoku na Rzeszowszczyźnie. Powstała ona kilkanaście obiektów, w tym unikalnych ekspozycji, jak młynek wodny z Woli Kombarowej z kompletnym wyposażeniem technicznym, typowym dla XIX wieku, młynarnia, cerkiewkę z Rosolina z XVIII wieku oraz zabytkowe budynki mieszkalno-gospodarsze. Perspektywiczne plany rozwoju muzeum (do r. 1989) przewidują umieszczenie w parku etnograficznym ponad 30 zagrod chłopskich, 15 obiektów sakralnych, kilka zabudowań dworskich i plebanialnych, 20-30 obiektów małych form architektonicznych, jak kapliczki, wieże, studnie, mostki i p.

Około 60 prac rysunkowych i malarskich krakowskich dzieci, skupionych w Pracowni Plastycznej krakowskiego Domu Kultury, zostało wystawianych na wystawie do Bratysławy. W zamian prace dzieci bratysławskich wystawiane będą w Krakowie w pałacu Bractwa KDK szejczyli się niemałym osiągnięciami. Prace dzieci w wieku od 4 do 13 lat zdobyły na międzynarodowych wystawach i konkursach ok. 70 medali i nagród. M. in. w r. 1961 w New Delhi Złoty Medal Prezydenta Indii i nagrodę premiera Nehru, w 1963 r. — Złoty Medal w Berlinie.

Trwające ponad 10 lat prace na terenie Kołobrzegu, słynnego już we wczesnym średniowieczu portu i ośrodka handlu morskiego, ujawniły, że najstarsze ślady osady, pochodzące z VII w., znajdują się w głębi łądy (ok. 2-3 km dalej niż obecnie), nad rzeką Paręgą. Na swym obecnym miejscu miasto „zagnieździło się” dopiero w XII w. Również Słupsk zmienił swe dawne położenie, przenosząc się na przeciwny brzeg rzeki Słupi.

Baszta Morze Czerwone, Baszta Pyrzycka, Baszta Łódzka lub Baszta Tkaczy, Baszta Wałowa, Baszta Białogłowa, Baszta Portowa lub Młynska — oto niektóre spośród zachowanych i odrestaurowanych po wojnie dawnych fortyfikacji Starogardu Szczecińskiego, zwanego niekiedy portem morskim Carcasonne. Starogard był w średniowieczu najbogatszym po Szczecinie miastem Pomorza Zachodniego i jednym z kwitnących ośrodków kupieckich. Pierwsze mury i obwarowania, wzniesione jeszcze w XIII w. przy pomocy szczecińskiego księcia Bogusława IV, chroniły miasto przed zakusami marcieli Brandenburskich.

Od niedawna istnieje przy Wydziale Kultury WRN w Warszawie ośrodek upowszechniania sztuk plastycznych. Placówka ta ma już duże osiągnięcia w dziedzinie popularyzacji współczesnej sztuki polskiej. Obok stałych wystaw w muzeach w Opinolu, Miawie i Cieluchowie, w ramach kultury w Cieluchowie, Ostrołecy i Sierpcu, organizowane są różnego rodzaju ekspozycje okolicznościowe.

W Pruszech Gdańskim archeolodzy odkryli cmentarzysko wenedzkie z I wieku przed naszą erą. Zawiera ono ok. 200 grobów.

W dniach 24-25 czerwca w ramach tradycyjnych „Dni Pioski” odbył się w tym mieście Festiwal Folkloru Ziemi Nadwiślańskiej. Impreza była wielkim przeglądem folkloru polskiego od źródeł Wisły do Bałtyku. W festiwalu wzięły udział zespoły województw: katowickiego, krakowskiego, tubelskiego, kieleckiego, warszawskiego, bydgoskiego i gdańskiego.

W polowie bieżącego roku miało 20 lat od powstania Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. W okresie tym tereny tego byłego hitlerowskiego obozu masowej zagłady zarządził ok. 3,5 mln osób, w tym ponad 700 tys. z zagranicy.

Nie ma premii za agresję

W chwili, gdy oddajemy numer do druku, trwa nadzwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, która rozpatruje sytuację na Bliskim Wschodzie powstałą w wyniku zbrojnej agresji Izraela na Zjednoczoną Republikę Arabską, Syrię i Jordanię. Trudno obecnie przewidzieć, jak rozwiną się obrady sesji i jaki będzie dalszy przebieg wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Zamiast własnego komentarza przedstawiamy więc szereg wypowiedzi polityków oraz cytujemy głosy prasy światowej związane z aktualną sytuacją międzynarodową.

Politycy

A. KOSYGIN: „Dopóki wojska izraelskie będą okupować terytoria niektórych państw arabskich, dopóki nie będą podjęte pilne kroki w celu zlikwidowania następstw agresji — konflikt na Bliskim Wschodzie może w każdej chwili wybuchnąć z nową siłą... Nikt dziś nie wątpi, że gdyby wybuchła teraz nowa wojna światowa — byłaby to nieuchronnie wojna nuklearna. Skutki jej byłyby zgnębne dla wielu krajów i narodów świata. Wiek nuklearny stworzył nowe realia w dziedzinie zagadnień wojny i pokoju oraz obarczył państwa znacznie większą odpowiedzialnością w tej dziedzinie. Nie może tego negować żaden polityk i żaden wojskowy, jeśli nie stracił zdolności trzeźwego myślenia”. (Z PRZEMÓWIENIA NA ZGROMADZENIU OGÓLNYM NZ).

WŁ. GOMULKA: „Po agresji na kraje arabskie, jak po piątkowej, rozbojniczej hulance, która rządząca w Wielkiej Brytanii i USA, całe zgraje imperialistycznych i reakcyjnych obrońców tej agresji objął „katzenjammer”. Nic nie wskazuje na to, aby i na przyszłość mieli powody do uciechy. Agresja ta obróciła wszystkie narody arabskie przeciwko Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym. Militarne zwycięstwo nad krajami arabskimi przyniosło Wielkiej Brytanii i USA największą klęskę polityczną na Bliskim Wschodzie. Polityczne znaczenie tych państw w świecie arabskim jest niższe, niż było kiedykolwiek, spallo niemal do zera. Niełatwo przysięgnie im zmniejszyć rozmiar tej klęski politycznej. Z drugiej strony imperializm będzie usiłował zachować swe pozycje na Bliskim Wschodzie stosując w tym celu wszelkie środki, nawet gdyby to miało nastąpić kosztem Izraela. Sytuacja może się więc zmieniać, może się zaognić, a także ulegać odprężeniu. Stanowisko nasze, Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych jest jasne. Dążymy do odprężenia, lecz nigdy nie pogodzimy się z tym, aby izraelski agresor otrzymał premię za agresję”. (Z PRZEMÓWIENIA NA VI KONGRESIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH).

G. NASER: „Pomimo ciosu, naród arabski — przy całej swej energii i zasobach — jest w stanie nalegać na usunięcie pozostałości agresji. Kolejnym zadaniem jest dla nas wyciągnięcie wniosku z tego ciosu. Należy zatem pamiętać o trzech podstawowych faktach:

1) Zniszczenie imperializmu w świecie arabskim osamotni Izrael i skazuje go na własne siły. Bez względu na warunki oraz na to, jak długo się one utrzymają, możliwości Arabów są większe i efektywniejsze.

2) Reorientacja interesów arabskich tak, aby służyły one arabskim prawom — stanowi podstawowy warunek bezpieczeństwa. Amerykańska VI flota porusza się dzięki arabskim paliwom. Są również bazy w krajach arabskich, które zostały siłą i wbrew woli narodów przekazane w służbę agresji.

3) Konieczny jest obecnie zjednoczony głos całego narodu arabskiego. Jest to warunek bezpieczeństwa, który w dzisiejszej sytuacji nie może być niczym zastąpiony”. (Z PRZEMÓWIENIA RADIOWEGO W DNIE 9 CZERWCA).

M. DAJAN: „Przybyliśmy do Jeruzolimy po to, aby już z nią nie rozstać”. (Z WYWIADU DLA AMERYKAŃSKIEJ TELEWIZJI CBS).

Prasa

„TRIBUNE” (brytyjski tygodnik) „Ben Gurion powiedział kiedyś, że Izrael może wygrać dwie wojny, może trzy, ale nie więcej. Ta wojna — po wojnach 1948 i 1956 r. — była trzecią. A jeśli Izrael zniszczy Azan a Egipt zniszczy Tel Awiw — co wtedy? Jeśliby nawet Izrael wygrał — jakże ogrom nieważkości i upokorzenia powstałoby w rezultacie! Był Izraela zależy od pojednania się z jego arabskimi sąsiadami; bez tego — może mieć

miejsce jedynie seria wojen, których końcem byłoby wypiętanie Izraela”. „CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” (amerykański dziennik): „Nie ma chyba we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych zobowiązań, które byłyby częściej powtarzane od tych, które dotyczą granic Izraela i jego arabskich sąsiadów. Izrael zamierza obecnie zmienić te granice. Czy Waszyngton powie, że dawne granice są święte i muszą być przywrócone? Odpowiedź jest oczywista. Jest politycznym faktem, że Waszyngton zamierza znaleźć jakąś motywację zmiany granic na korzyść Izraela”.

„LE MONDE” (dziennik francuski): „Izrael utworzył swe państwo siłą w kraju arabskim, bez zgody ludności tego kraju i jego przywódców. Chwilowe poparcie kolonialnego państwa — W. Brytanii, uznanie faktu dokonanej przez ogromną większość państw należących do ONZ, żadnego z ówczesnych faktów nie zmienia. Milion uchodźców palestyńskich to nie winowajcy, to ofiary. Ich rozżalenie jest nieuchronne. Zrzucanie odpowiedzialności na przywódców arabskich, którzy fatalnie wykorzystywali ten gniew, nie służy niczemu... Cały problem polega na tym: Izrael nie może nieskończenie utrzymywać się przy życiu jako państwo-garnizon wśród świata arabskiego, który będzie zmieniać się, modernizować i powoli umacniać, niezależnie od tego, co się myśli na ten temat. Gdyby w zamian za poważne ustępstwa dokonane dzisiaj Izrael mógł wymieścić protekcję anglo-amerykańską na międzynarodową gwarancję i przynajmniej tolerancję krajów arabskich, taki przetarg wart byłby trudu podjęcia go”.

„AL BAAS” (dziennik syryjski): „Agresja nie została zakończona, a bitwa jeszcze trwa. W sytuacji, kiedy wydarzenia przeniosły się na arenę dyplomatyczną, kraje arabskie podejmują szereg doniosłych kroków, aby być gotowe do stawienia czoła każdemu ewentualnemu rozwojowi wydarzeń. Ponad pół wieku Arabowie prowadzą walkę z kolonializmem i imperializmem. Jest to długa walka, niemniej naród arabski odnieść w niej zwycięstwo, tak jak odniósł już wiele zwycięstw w przeszłości”.

„NEUES DEUTSCHLAND” (dziennik NRD) wiele uwagi poświęca na wykazanie związków Izraela z NRF określanych jako sojusz skierowany przeciw postępowi i ruchowi wyzwoleniu krajów arabskich. „Neues Deutschland” pisze, że 20 proc. kwot, przekazywanych Izraelowi przez NRF w charakterze „odszkodowań”, Tel Awiw otrzymywał w postaci broni i sprzętu wojennego, co w znacznym stopniu umożliwiło rozbudowę armii izraelskiej. Izrael we współpracy z NRF dąży do wyprodukowania bomby atomowej. W izraelskich instytucjach pracują zachodni Niemcy uczeni. NRF ofiarowała Izraelowi na te cele od 1960 r. 25,4 mln marek, co przyspieszyło m. in. prace przy budowie reaktora atomowego na pustyni Negew. Reaktor ten produkowałby rocznie 8 kg nuklearnego materiału, co oznacza, że Izrael mógłby produkować co pół roku jedną bombę atomową.

„DIE WELT” (dziennik zachodni-niemiecki): „Nauka wojny na Bliskim Wschodzie leży jakby na dłoni: mała sila zbrojna zdolna do szybkiego przystąpienia do walki, może energicznymi atakami wytrącić przeciwnika z równowagi i odebrać mu tyle terenu, że mu pozostanie mało obszaru do obrony. Wbrew wszelkim różnicom między sytuacją w Europie a sytuacją na Bliskim Wschodzie, stwierdzamy, że ma również swoje znaczenie dla Europy”.

Ten ostatni głos „Die Welt” nie wymaga już żadnego komentarza. Chciałoby się jednak powiedzieć, że naszym redaktorom: każdy kij ma dwa konce!

Różne

W dniach 24-25 czerwca w ramach tradycyjnych „Dni Pioski” odbył się w tym mieście Festiwal Folkloru Ziemi Nadwiślańskiej. Impreza była wielkim przeglądem folkloru polskiego od źródeł Wisły do Bałtyku. W festiwalu wzięły udział zespoły województw: katowickiego, krakowskiego, tubelskiego, kieleckiego, warszawskiego, bydgoskiego i gdańskiego.

W polowie bieżącego roku miało 20 lat od powstania Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. W okresie tym tereny tego byłego hitlerowskiego obozu masowej zagłady zarządził ok. 3,5 mln osób, w tym ponad 700 tys. z zagranicy.

W bieżącym roku — powiedział Casals — nie zamierzam ograniczać swych podróży. Otrzymałem zaproszenie z wielu krajów; z ZSRR, Polski, Kanady, Izraeli, Korei, USA i wielu innych krajów Europy. Pragnę tam usłyszeć moje oratorium antywojenne „El pesebre”. Terminy występów nie zostały jeszcze ustalone.

Międzynarodowy konkurs skrzypcowy im. królowej Belgii Elżbiety przyniósł triumf skrzypkowi radzieckiemu. Pierwsze miejsce zajął Filip Bircborn, trzecie Kremer, czwarte Nodet. Drugie miejsce zajęła Milanova (Bulgaria).

Muzyk szwajcarski Lionel Rogg nagral na płytach wszystkie utwory Bacha na organach, podobnie jak organista niemiecki Helmut Walcha.

Radio algierskie zaprzestało nadawania piosenek w stylu „ye-ye”. Wstrzymano także wyemitowanie filmów zachodnich we wszystkich kinach.

Staraniem grona melomanów i muzyków orkiestry symfonicznej powstał w Opolu Klub Muzyki Współczesnej. Klub organizuje spotkania z kompozytorami, audycje muzyki XX wieku oraz dyskusje.

Zamek Kazimierza Wielkiego w Opocznie będzie siedzibą muzeum regionalnego. Ekspozycja obejmie: stroje regionalne, tkaniny, kilimy, hafty, wycinanki wytworzone przez ludowych twórców regionu opoczyńskiego. W muzeum znajdą się także dokumenty i ekspozycje, przedstawiające historię regionu, dawne narzędzia pracy, ceramika, w tym kowalstwo oraz dawne monety znalezione m. in. w miejscowościach położonych nad Pilicą i Drzewiczką.



Przez przedwcześnie małżeństwo została księżniczka, ale choć była artystką, więc uczyć się dużo. Mam za sobą dopiero trzy filmy, ale nie chcę być gwiazdka, lecz prawdziwą gwiazdą. Twierdzi Ira de Fürstenberg.

Konserwatorzy czy konserwatyści?

każdy przedmiot ruchomy lub nieruchomy, dawny lub współczesny, mający znaczenie dla dziejstwa i rozwoju kulturalnego ze względu na jego wartość historyczną, naukową lub artystyczną".

Chodzi więc o dzieła budownictwa, sztuki i architektury, o obiekty etnograficzne, o rzeźby, obrazy malarzkie, o wszelkie inne zmaterializowane wartości kultury.

Nie trzeba, jak sądzić, rozstrzygać się nad wielkością terenu podlegającego nadzoru konserwatorów. Aby tego nadzoru nie było, trzeba by było objąć nadzorem wszystkie zakłady i obiekty zawodowych warsztatów, przystosowanych do wykonywania prac konserwatorskich, a także do wykonywania prac konserwatorskich, a także do wykonywania prac konserwatorskich...

sytuacji jaka do dziś istnieje w tym terenie, czyli w Polsce wojewódzko-powiatowej. A tam właśnie, pomimo niewątpliwych zmian na lepsze, wysiłki konserwatorów nieraz spotykają się z niezrozumieniem.

Podkreślam sprawę opinii o zawodzie i roli konserwatora, bowiem może on działać skutecznie tylko wówczas, jeśli posiada zaufanie społeczeństwa. Jakże często jednak mówi się, że konserwatorzy nie dostrzegają potrzeb współczesności, że wtracają swoje trzy grosze wszędzie tam, gdzie nikt sobie tego nie życzy. Mnoży się argumenty: konserwatorzy protestują przeciwko modernizacji zabytkowych wnętrz mieszkalnych (mówi się jednak o bezmyślności takiej modernizacji), mają zastrzeżenia co do sposobu instalowania kanalizacji w historycznych dzielnicach miasta, nie zgadzają się na lokalizację nowoczesnych pawilonów handlowych („potrzebnych dla ludności!”) w zabytkowym otoczeniu. Na naszym, lubelskim podwórku, kiedy dyskutuje się o przyszłości unikalnego Kazimierza, z ust dyrektora dużego zakładu przemysłowego pada dramatyczne stwierdzenie, że nad miastem tym unosi się widmo konserwacji. Jakby konserwatorzy działali wbrew potrzebom bytowym mieszkańców, jakby chcieli zepchnąć ich do roli egzotycznych indywiduów, mówiących językiem starocerkiewnosłowiańskim.

Przykład Kazimierza wiąże się zresztą z innym problemem. O ile decyzje konserwatora dotyczące pojedynczych obiektów są jakoś respektowane, o tyle wobec zabytkowych układów urbanistycznych pozostają oni w praktyce neutralni. A w Polsce około 800 miast posiada takie układy, kilkadziesiąt innych — układy o istotnych walorach zabytkowych. O zmianie ich kształtu decydują przede wszystkim urbanisci i architekci. Rezultaty? Wrocławskie Stare Miasto przecięte nieproporcjonalną do zabytkowej zabudowy arterią, wprowadzającą do tego rejonu element całkowicie obcy.

Niewątpliwie, charakter współczesnej cywilizacji, postępująca urbanizacja i motoryzacja, konieczność podnoszenia standardu życia zmuszają często do rezygnacji z pewnych wartości uznanych za zabytkowe, albo do takiego ich przystosowania do potrzeb dnia dzisiejszego, że zatracają częściowo

wo swoje walory. Tu właśnie wyłania się przed konserwatorami problem kompromisu na rzecz współczesności, w praktyce dość często pomyślnie rozwiązywany. Ale kompromis może być także równoznaczny z zaprzeczeniem wartości zabytkowych obiektu, może okazać się precedensem całego łańcucha kolejnych zadań: ze strony przetrząsanych inwestorów, administracji powiatowej, przemysłu.

Na niedawnym ogólnopolskim seminarium konserwatorów zabytków w Kazimierzu, zorganizowanym z inicjatywy lubelskiego konserwatora, sprawa ta przewijała się we wszystkich wypowiedziach. Na ogół zgadzano się z potrzebą kompromisu, albowiem tylko takie, elastyczne stanowisko daje m.in. nadzieję na realizację jednego z aktualnych celów służby konserwatorskiej: znalezienie nowej funkcji dla historycznych centrów miast oraz użytkowników dla poszczególnych obiektów. Okazuje się, że tam, gdzie konserwator poszedł na kompromis, gdzie równocześnie zrezygnował ze ścisłego respektowania drogi urzędowej, gdzie jest w częstych i bezpośrednich kontaktach z wydziałami architektury i budownictwa rad narodowych, z przemysłem, z władzami powiatów, tam współpraca układa się pomyślnie. Nawet tak drobna sprawa jak forma korespondencji wychodzącej od konserwatora, bardziej „literacka” niż urzędowa, ma istotne znaczenie dla pozytywnego załatwienia jakiejś kontrowersyjnej sprawy. Jak na ironię jednak, ten skuteczniejszy sposób korespondencji spotyka się zastrzeżeniami NIK.

Na linii władza powiatowa — konserwator istnieje przecież w dalszym ciągu wiele nieporozumień. Często podsuwa się konserwatorowi do akceptacji pisma dotyczące wyłączenia obiektu z rejestru zabytków — już po rozebraniu budynku! Co prawda w rozdziale XIII wspomnianej ustawy znajduje się artykuł grozący karą więzienia do 5 lat i grzywny za zniszczenie lub uszkodzenie zabytku, lecz w praktyce jest on niemal nie egzekwowany.

Naszkicowany tu, bardzo osobliwy stosunek do konserwatorów wynika więc zazwyczaj z niezrozumienia ich społecznej roli oraz z lekceważenia samych zabytków. W oczach niejednego obywatela zabytek architektury kojarzy się z bezużyteczną rudą, która nadaje się co najwyżej na budulec. Natomiast zabytki archeologiczne w postaci grodzisk są za-

zwyczaj traktowane jako dogodny miejsce pod budowę domów strażaka, trasy nowych dróg, ewentualnie — idealny teren do zalesienia. Taki właśnie los spotkał kilka grodzisk Lubelszczyzny: w Leszczynie, Gródku nad Bugiem, Typlinie, Podłodowie.

Można by więc zaryzykować wniosek, będący w praktyce jeszcze jednym wskazaniem dla pracy konserwatorów. Powinni oni mianowicie przyjąć rolę nauczycieli, uświadamiających instytucjom i osobom, z którymi pozostają w kontakcie, cele i sens swojego działania. Tylko że sugestia ta zawiera moment wręcz paradoksalny jeśli się weźmie pod uwagę zakres obowiązków konserwatorów. Poza ochroną zabytków, urząd wojewódzkiego konserwatora rozpatruje także sprawy wywozu dzieł sztuki za granicę, z czym związane jest dokładne, pochłaniające czas opisanie dzieła według wymagań specjalnego formularza. Od niedawna konserwatorzy opiekują się również miejscami walk, męczeństwa i straceń, których na samej Lubelszczyźnie jest około 5 tysięcy. Jaka przy tym może być efektywność pracy urzędu zatrudniającego przeciętnie 4—6 osób? W wyjątkowej, uprzywilejowanej sytuacji jest służba konserwatorska w Rzeszowskiem (17 osób) i we Wrocławskiem. W Lublinie 4 pracowników czuwa nad 1500 zabytkami nieruchomymi i silną rzeczy nie mogą oni zbyt często kontrolować stanu zachowania poszczególnych obiektów. Wiele zatem wyroków przeciwko ustawie o ochronie zabytków, podlegających jurysdykcji kolegiów orzekających, ulega po sześciu miesiącach — zgodnie z obowiązującą procedurą — przedawnieniu.

Przebiegnięciem prac konserwatorów wojewódzkich jest tak wielkie, że najwyższy czas pomyśleć o zredukowaniu ich obowiązków. W pierwszym rzędzie należałoby dążyć do powołania stanowisk konserwatorów przy powiatowych radach narodowych. Poza tym muzea okręgowe, skupiające liczny i odpowiednio przygotowany personel, powinny zająć się opiniowaniem dzieł sztuki przeznaczonych do ewentualnego wysłania za granicę, w czym zresztą już obecnie uczestniczą, oraz przejąć opiekę nad zabytkami ruchomymi. Natomiast muzea martyrologiczne mogłyby zaopiekować się miejscami walk, męczeństwa i straceń, jak to zrobiono w województwie gdańskim. Nieodzwonne wydaje się również uruchomienie biur dokumentacji zabytków, które przejęłyby wiele pracochłonnych czynności, dotychczas wykonywanych przez konserwatorów.

Trzeba zatem pójść na jak najszersze ułatwienia tej trudnej pracy; chcąc bowiem zachować dla współczesności świadectwa naszej tradycji kulturowej są konserwatorzy... konserwatystami w najszlachetniejszym sensie tego słowa.

Ireneusz J. Kamiński

Z poezji białoruskiej

MAKSYM TANK

W aureoli włosów twych
moje sny nocują niespokojne,
a w oczach twych
odbijają się
wszystkie moje zrzęzy;
na wargach twych
odgrzewają się
wszystkie moje uśmiechy,
a w dłońach twych
zbiegają się
wszystkie moje ścieżki.

I jak to
w wieku rewolucji,
powstał
i buntów
zachował
jedynowładztwo

A więc gdzie się znowu spotkamy?
Może
w Moskwie
gdzie smyczek Mostu Krymskiego
zakochanym sonaty wygrywa?

Albo
w Łazienkach,
gdzie białe śnią labędzie,
a swawolne wiewiórki proszą,
aby je pokarmić?

Może
przy fontannie Trevis,
gdzie ludzie rzucają monety
w nadziel,

że wrócą znowu
po młodość?

Może
na Polach Elizejskich
albo na Placu Zgody?
Jakie to piękne słowo:
„Zgoda!”

Tylko szkoda, że często,
jak ty,
z opóźnieniem przychodzi.
To po prostu jest śmieszne,
że proponuję ci
tyle najcudniejszych miejsc,
jak gdybym przy spólkaniu
oprócz twych oczu
mógł cokolwiek innego
jeszcze zauważyć!

O, jak łatwo jest iść
czując ręce martezyne,
czując łokcie najdroższe,
czując skrzydła młodości.

I jak trudno się wlec
operując się dłońią
na starym
kosturze wspomnień.

Przełożył
K. A. Jaworski

Jaką miałem sprawę z Książką Brychta

(Dokończenie ze str. 1)

autor (postponując beztrósko to, co dotąd napisał) — jego zdanie o „Dancingu” — książka, która sprawiła, że po raz pierwszy pomyślałem o sobie jako o pisarzu. Tu alfabet nie koniec. Na podstawie utworu kręci się dwa filmy równocześnie. Zrobiono adaptację teatralną, słuchowisko radiowe. Tłumacza i wydawca w Związku Radzieckim, NRF, Francji, Jugosławii, Czechosłowacji, Anglii, na Węgrzech, we Włoszech... W przygotowaniu druga edycja polska (ale to już drobiazgi). „Nowy na europejskim rynku pisarz” sam nas o tym wszystkim informuje.

To nie jest zwykła rzetelna książka, ona urasta do rangi Książki trzewelacyjnej!

Dlatego będzie mi liżone w reżestr win, że nie zapoznałem się z „Dancingiem” natychmiast po jego wydaniu. Brakło jakoś czasu. Takie nerwowe mamy życie ostatnio. A chciałem przestudiować ten barytas w należyty spokój i skupieniu sił duchowych, aby móc o nim napisać do dzielnego „Z problemem nowej prozy”. Póki co, czytywałem dorywczo relacje krytyków. Lecz ciągle nie czytałem Książki. Bo równocześnie zajęła mnie lektura rzeczywiście znakomitych i bardzo potrzebnych dla zdemistyfikowania naszej świadomości reportaży Brychta z NRF.

No i przeczytałem wreszcie „Dancing” w kwaterze Hitlera. Towarzyszyły mi wrażenia, jak to mówią mieszane — segregowałem je długo i w pocie czoła, a w międzyczasie zdążyłem jeszcze poznać następną — ostatnią — książkę Brychta, zbiór relacji pt. „Sceny

miłosne” (1967); przypomniał mi się także jedyny chyba, pełen umiarkowania i wyważonej całościowej oceny głos Jana Błońskiego na temat „Dancingu” („Życie Literackie” 1967, nr 11). Ale po kolei — jak mówi Brycht.

Chciał on napisać Książkę „o DZIS” wynikającym z wojny”, jak to w jednym z NRF-owskich reportaży bezpośrednio stwierdza („Kultura” 1967, nr 5). Istotnie — wyraźnie znamiona takiej koncepcji można w „Dancingu” łatwo odnaleźć. Rzecz jasna owe „DZIS”, „wynikanie” i „wojna” posiadają u pisarza określony sens, co usiłowałem analizować później. Sam wszakże kierunek artystycznej penetracji od początku wydawał mi się wielce pozytywny i dla pewnych ogólniejszych tendencji w obrębie młodej prozy — charakterystyczny.

Pokolenie Brychta, ludzie dziś w okolicach trzydziestki, jest bodaj pierwszą w historii najnowszej generacją Polaków, którym tragiczne wypadki dziejowe bezpośrednio nie zakłóciły życia. Ani go nie przyspieszyły. Lecz wraz z czasem ostatnia chyba generacja, której wypadki owe mogły stać się bolesny wypadki, a nie tylko konieczną do się czymś więcej — choćby dla zapamiętania przeszłości — choćby dla nazwania ojców i starszych braci tej generacji. I jeszcze dlatego, że już na progu swej dojrzałości biografii, pokolenie to zerkało się z wiedz, jakie przynosił Październik 56.

Nie od razu wyciągnęli słuszne wnioski ze swych wstępnych doświadczeń. Był przecież czas na swyczącą młodość, dzieńca mitologii oraz jej literacką nobilitację (tu tkwi normalność i cykliczność tego pokolenia). Tępkono po przygodzie, do natury, nieokreślone piszczenie zła i miłości świata i innych” (m. in. w rejonie, gdzie jest, przedpaździernikowe), dość beład-

ku opozycyjnego) zostały wyznaczone przez obiektywne wydarzenia niedawnych dramatów dziejowych.

Powstawa Jastrun: „Odniesienie hasła humanistyczne, jeśli przeczy się mu, uśmianie historia, staje się pustym dźwiękiem, które odrzuca młode pokolenie i traciąc zaufanie do wszelkiej konstrukcji etycznej-humanistycznej, poprzestaje na negacji i urwimie. Jest to w istocie pozycja wyzyskująca. I tem jej są wyrażenia: miłość, wojny, że szafarzą się wciąż jeszcze żywe, przetrwały się po nich wama zanadto wyjąca, dymy spalonych miast, tumany pęgują na rzek”. Sytuacja ta stanowi ważną część składową historyczno-socjologicznego kontekstu, z jakiego wyrosły przeważające literatury (a w każdym razie prozy), którą zadebiutowała i która do pewnego momentu kontynuowała pokolenie Brychta, zniechęca do podważania szerszej historycznej problematyki ideowo-społecznej na rzecz absolutyzacji autonomicznych spraw jednostki izolowanych lub przeciwstawianych różnego rodzaju ponadindywidualnym celom czy determinacjom. Zresztą wachlarz „pozytywnych” mitów tej prozy był dosyć szeroki, jawiska różnorodnie się linał krzyżowały i uzupełniały, kwestia została do osobnego omówienia. Toteż przykładowo tylko, — „Łagodna” formuła kulturowania faktu życia „samego w sobie”: „Jakby ludzie żyli oia zgołose”, a nie dla siebie, a nie dla samego życia, które jest największym i wystarczającym powodem, aby pragnąć rozpaczając i znowu zwyciężać. I tak bez końca”. (R. Samulski, „Otwarcie słoneczka 1964). Męki świadomości zdezorientowanego osobnika (efekt społecznych i kulturowych podwalin naszej sytuacji bytowej), poszukującego bezpośredniej więzi ze światem — tu otwarte wyjęcie na problematykę egzystencjalną: „Opasy te rozgrzany mur chciałem uchwytyć jedną chwilę, która jest skrótem życia, nie całym, zyciem, chciałem koniecznie uwierzyć w mit tworzony przez ludzi tak samo jak ja wstrząsających się na myśi o umieraniu, oszukujących samych siebie twierdzeniem, że jest chwila, gdy jednoczymy się z przyrodą, z całym światem w jedną całość, i że w pełni tego świadomości”. (I. Iredyński, „Ukryte”, w: „Wzrost i zwiędnięcie” 1963, nr 3). No i wreszcie proza tzw. marginesu społecznego, beatyfikująca postać lumpa i wykołajca, mniej lub więcej demonizująca zwracającą naturę człowieka jako motylów... autentyczny jednostki — nieokreślony bunt o romantycznym zapachu (opisywali to już niezmiernie krytycy). Najbardziej chyba wyraz „negacji i drwin” (niebyleż jasno racjonalizowanych, a więc o podłożu niejako „archetypicznym”). Taki jest historycznoliteracki aspekt „Suchych traw” czy pierwszych tomików Nowakowskiego.

Była to więc literatura źle ad-resująca egzystencjalne swe bóle (m. in. w rejonie, gdzie jest, przedpaździernikowe), dość beład-

nie i jakby nieświadomie szamocząca się z problemami, których — jak powiada Wilhelm — „nie mogą i nawet nie usiłują rozwiązać żadne ideologie społeczne”; albo też literatura przekornie usiłująca nadać niewłaściwy wymiar problemom, które w obrębie owych ideologii rozwiązać się dadzą. Była to zatem literatura, przy wlewu sugestijnych estetycznie rozwiązań, niedojrzała (raczej w szlachetnym sensie tego słowa) oraz mimo pozorów zdecydowania, w swej pozie na brutalność i cynizm — chłopięca. Autorzy zaś ujawnili zbyt mało aktywny i zbyt mało świadomy stosunek do otaczającej ich rzeczywistości, pozostając w efekcie biernym przedmiotem historii, od której tak silnie odzignęli, ale od której uciec przecież nie można. I tu kończą się ich losy jako literackiej generacji. Dziś bowiem odcinają się od swej młodzieńczej mitologii (co potwierdza nie tylko cytowana wypowiedź Brychta o „Dancingu”, lecz również określone passusy w „Robakach” Nowakowskiego) i w ogóle zmieniają postawę niestrasną. Przyszli, właśnie ostatnio, czas dojrzenia artystycznego, czas bezpośredniej aktywności intelektualnej wobec świata — usiłują teraz, każdy na własną rękę, wykorzystać ową wolność, jaką człowiek, mogąc być także podmiotem dziejów, posiada w obrębie niewoli historii. Jeśli zaś pisarstwo jest czymś, który w pewnym przynajmniej stopniu potrafi zmieniać rzeczywistość, to właściwie „wykorzystanie owej wolności” polega w literaturze na właściwym i ostrym rozpoznaniu świata. (Gdyż za wszelkim rozpoznaniem stoi postulat — chodzi tu tylko o obiektywną sprawdzalność). Wydaje mi się, że generacja Brychta ostatnio coraz częściej zmierza w tym kierunku. To, co niedługo było niejako uświadamianym źródłem ich młodzieńczych niepokojów, teraz staje się celem bezpośredniej refleksji.

Naturalny ten proces, administracyjnie przecież nieinspirowa-

ny, dopiero się oczywiście krystalizuje, ma zresztą różne rozgałęzienia, regresy i falowania. W każdym razie jest charakterystyczna droga np. Nowakowskiego od bpowiadań złodziejskich do jąt-rzającego problemem malej stabilizacji „Zapisu”, są zaskakujące bieguny twórczości Iredyńskiego. Nawet ciągle jeszcze kulturowy „naturzyczkowski” mity Stachura zaczyna rozszerzać płaszczyznę obserwacji, sytuując przyczynowo rozterki lirycznego łazika w kontekście groźnych spraw współczesnego świata, a nie tylko poród lasów, wód i pól. No i wreszcie droga Brychta od świętych skądinąd relacji lumpowskich (bo literatura poza walorem oznaczania posiada także immanentną wartość samego znaku) do „Dancingu w kwaterze Hitlera”, gdzie autor chce analizować historyczną podszewkę naszej teraźniejszości i gdzie stara się wyciągnąć właściwe wnioski z ogólniejszych doświadczeń swego pokolenia. Ostatnia to, jak się zdaje, generacja, która wykorzystując swe biograficzne dyspozycje, może o skutkach niedawnych wstrząsów dziejowych powiedzieć słowo żywe.

W sensie więc ambicji poznawczych Książka Brychta od razu wydała mi się utworem niezwykle ważnym, socjologicznie zaś — znamionującym proces dojrzenia omawianej generacji pisarzy. Czy natomiast ambicje autorskie zostały właściwie zrealizowane, czy obrany aspekt spojrzenia jest odpowiedni wobec rzeczywistego problemu, czy wreszcie użyty zespół środków literackich sprostał w pełni zamiarom poznawczym, słowem: czy „Dancing w kwaterze Hitlera” stanowi udaną artystycznie całość — są to już kwestie innej natury, nad jakimi przyszło mi się następnie zastanawiać.

Maciej Podgórski

„Dostają wysypki gdy mowa o Majdanie”

ROMUALD WIŚNIEWSKI

KIEDY mowa o Majdanie lub Krowicy, dostają wysypki — mówi mi w Rzeszowie wysoki urzędnik szczebla wojewódzkiego.

— Chętnie witamy u siebie dziennikarzy, ale jeśli pan w tej sprawie — to nie. Za dużo szumu wokół tego sporu — stwierdza znany działacz społeczny w Lubaczowie.

Majdan Lipowiecki i Krowica Lasowa to dwie sąsiadujące ze sobą wioski w powiecie lubaczowskim. Wioski o małej liczbie mieszkańców, gospodarujących na dość lichej gruncie, położone w pobliżu granicy państwa, z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Świat zabity deskami. Ani telefonu, ani elektryczności. Gdy popada przez pół dnia deszcz, trudno tam dojechać, gdy popada przez dwa dni — trudno dojść.

Kto — poza najbliższą okolicą — atyszał coś o Krowicy Lasowej lub Majdanie Lipowieckim? Nikt. „Sława” ich zaczęła rosnąć przed pięć laty. 3 kwietnia 1962 roku Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubaczowie podjęło decyzję o wybudowaniu w Majdanie nowej szkoły podstawowej, 8-klasowej. Początek robót zaplanowano na rok 1967.

Kto widział, w jakich warunkach pracowała szkoła w Majdanie, nie mógł nie przyklasnąć tej decyzji. Dwa jednoizbowe budynki przedzielone od siebie drogą i trzecie, dwuizbowy, położony o kilkaset metrów dalej, były siedzibą tej 7-letniej. Naukę prowadzono nawet na trzy zmiany. W takich warunkach trudno o osiągnięcie efektów proporcjonalnych do włożonej pracy. A do szkoły uczęszczały nie tylko dzieci z Majdanu, ale także z Krowicy Lasowej (do klasy piątej) i wyższych — bo Krowica ma szkołę 4-klasową o 1 nauczyciela) i z przysiółka Lipiny. Niektóre miały ponad 3 km w jedną stronę. Jesienią i wiosną w błocie po kolana. Zimą w ciemnościach, w czasie mrozów i zawiłej śnieżnych 7 mln złotych z państwowej kieszonki na budynek szkolny było więc wydatkiem całkowicie celowym. Do nowej szkoły w Majdanie mogłyby również uczęszczać dzieci z Tarnawskiego dotychczas uczące się w Łukawskim.

Ale po decyzji Prez. PRN zawrzało w Krowicy Lasowej. Dlaczego w Majdanie, a nie u nas? Tyle samo dzieci jest przecież i w Krowicy. Dlaczego mają one wydeptywać kilometr? Niektóre krowickie dzieci z klas 5—7 mają za daleko do Majdanu i chodzą do szkół w Krowicy Holodowskiej i w Dąbrowie. Za Krowicą Lasową leży przysiółek Boble. Dzieci z Bobli naukę w klasach 1—4 pobierają w Krowicy La-

sowej, w klasach 5—7 w Krowicy Holodowskiej. A do Holodowskiej mają prawie 4 km. Tu już za daleko. Jeśli postawi się szkołę w Majdanie — ta sytuacja utrzyma się na stałe.

Mieszkańcy Krowicy Lasowej zarzucali mieszkańcom Majdanu Lipowieckiego, że kierując się egoistycznymi pobudkami i wykorzystując osobiste znajomości wprowadzili władze powiatowe w błąd i dzięki temu uzyskali lokalizację szkoły u siebie. Krowica domagała się rewizji tego postanowienia. Nie żądała jednakże, by szkołę wybudowano w samej Krowicy — bo to byłoby równie ciasnym egoizmem, bez szans na powodzenie. Proponowała, by szkołę pobudowano na granicy obu wsi.

Prezydium PRN uchyliło swoją decyzję i przychyliło się do postulatu Krowicy Lasowej. Stało się to 25 sierpnia 1964 roku.

Teraz zawrzało w Majdanie. Po dwóch tygodniach wieść odwołała się — drogą urzędową, za pośrednictwem Prez. PRN — do Prezydium WRN. Spór przekroczył granicę powiatu. Wśród dziewiętnastu argumentów, jakimi motywowano swe odwołanie Majdan, były m.in. takie, że wieś leży w samym środku obwodu, z którego dzieci będą do niej uczęszczały, że w wypadku przesunięcia lokalizacji na granicę Majdanu i Krowicy do nowej szkoły miałyby za daleko dzieci ze wsi Tarnawskie, zmuszone dotychczas (z braku miejsc w Majdanie) do chodzenia do szkoły we wsi Łukawskie, że za lokalizacją szkoły w Majdanie wypowiedział się niegdyś autor artykułu zamieszczonego w „Nowinach Rzeszowskich”.

Prezydium WRN uchyliło drugą decyzję Prez. PRN w Lubaczowie, a zatwierdziło decyzję pierwotną, lokalizującą szkołę w Majdanie.

I oto mamy lato 1967. Szkoły w Majdanie nie rozpoczęto budować i nie wiadomo, kiedy rozpocznie się w ogóle. W sprawie tej zaangażowane były bowiem nie tylko władze powiatowe i wojewódzkie. Spór przekroczył granicę Rzeszowszczyzny. Mieszkańcy obu wsi wysyłają systematycznie petycje, skargi i odwołania do Prez. PRN, Prez. WRN, Ministerstwa Oświaty, redakcji „Trybuny Ludu”, „Polskiego Radia” i różnych instytucji. Zanim więc jakkolwiek decyzja zaczęła być wcielana w życie, zaraz składała swoje veto wieś, która czuła się nią pokrzywdzona. W styczniu br. artykuł na temat pięcioletniego sporu pomiędzy wsiami opublikowała „Polityka”. Czas płynął. Fundusze przeznaczone na budowę tej szkoły otrzymała Huta Różaniecka, zresztą również ich potrzebująca. Spór dwóch wsi trwa nadal i nie widać rozstrzygnięcia. W międzyczasie szkoły w Majdanie przybyła klasa VIII — co jest nowym argu-

mentem wysuwaniu przez tę wieś. A Tarnawskie wywalczyły dla siebie szkołę 4-klasową, o jednym nauczycielu. Budowę już rozpoczęto. Zaś starsze dzieci z Tarnawskiego wolały chodzić do Łukawskiego niż do Majdanu. To jest nowym argumentem Krowicy, przesunął się bowiem środek obwodu szkolnego i jest inny, niż wtedy, gdy pisała o tej sprawie „Polityka”.

Co dalej?

— Żadna lokalizacja nie zadowoliłaby obu stron. Trzeba więc trzymać się ostatniego formalnego postanowienia Prez. WRN i budować w Rzeszowie. — mówi nacelnik Działu Szkolnictwa Ogólnego i Oświaty Dorosłych w Kuratorium w Rzeszowie, mgr Mieczysław Sidorowicz.

— Władze wojewódzkie zanim uchyliły drugą decyzję Lubaczowa, zbadały dokładnie zagadnienie. Wskazały na Majdan. Dlaczego nie respektować tej opinii? — odpowiada pytaniem na pytanie Piotr Bilut, kierownik Referatu Szkolnictwa Podstawowego w Kuratorium. I dodaje: — szkoła pracuje w katastrofalnych warunkach, nie można dłużej czekać.

— Byłem z komisją, która zapoznana się z sytuacją na miejscu. Ulokowanie szkoły pośrodku obu miejscowości byłoby sprawiedliwe. Krowica budowała do tego miejsca czynnym społecznym brukowaną drogę. Dalej jest błoto, bo Majdan nie położył bruku. Dlaczego dzieci z Krowicy miałyby nie tylko chodzić dalej do szkoły, lecz jeszcze miesiąc majdanowskie błoto? — wyraża swą opinię sekretarz KW PZPR Stanisław Ryba.

— Środek obwodu przesunął się obecnie na połowę drogi pomiędzy wsiami i tam należałoby umieścić szkołę. Architekci twierdzą, że to szersze pole, więc szkoła nie będzie mogła być wykorzystana jako ośrodek kulturalny dla wsi. Lecz przecież wale rozbudowują się, właśnie nawzajem w swoim kierunku. A szkoły nie stawia się na rok, czy nawet 10 lat — twierdzi wiceprzewodniczący Prez. WRN Mieczysław Kaczor.

— Pierwszą decyzję — powiłał powiłał nieco pochopnie. Po zbadaniu sprawy przesunęliśmy lokalizację na granicę obu wsi i przy tym obstajemy — mówi sekretarz KP PZPR Stanisław Kaczor.

A sami bezpośrednio zainteresowani? — Jeśli szkole zbudują w Majdanie, to 4-klasówka w Krowicy pozostanie nadal. Jeśli zaś na granicy, to naszą szkołę stikwidują i najmłodsi też będą chodzić do nowego budynku. Będą więc mieli dalej, ja także, bo mieszkam w Krowicy. Ale wtedy uczęszczałbym w normalnej szkole o 5 nauczycielach, podczas gdy obecnie ja jedyna ucze 31 dzieci z 4 klas, najpierw wspólnie 1 i 2 klasę, a potem 3 i 4. To nie są odpowiednie warunki — mówi nauczycielka z Krowicy Lasowej Ewa Kornaga.

— Z Bobli do Holodowskiej idzie się przez las. Ubiegłej zimy kilkorok dziećmi zaatakowała tam para wilków. Dzieci wzięły na drzewo i czekały tak długo, aż nadjechali koźmi Jan Kociuch i Józef Mazurkiewicz. Może to nawet nie były wilki, tylko psy. Zawsze jednak wieczorem dziećmi straszno iść pustą drogą przez las — mówi Józef Hatak.

— Mają nas wywłaszczyć z kawałka ziemi pod szkołę. Oboje z mężem zgadzamy się. Dostaniemy teren zamienny, a dzieci, w tym także i nasze, będą miały bliżej do szkoły — oświadcza Anna Hlinka z Krowicy Lasowej, której grunt leży na granicy.

— Wybudowaliśmy drogę do granicy wsi. Jeśli Majdan zechce budować ze swojej strony, pomożemy im — deklaruje Jan Demków z Krowicy Lasowej, radny GRN.

— Nikt ze mną nie rozmawiał, a tu nagle dostaje zawiadomienie o wywłaszczeniu. Cóż to, nie ma w Majdanie ziemi państwowej, żeby zabierać mi przywódną? Jak mi pobudują szkołę 30 metrów od domu, to grządkę marchewki nie utrzymam — mówi Jan Baran z Majdanu.

— Krowica Lasowa ma swoją szkołę 4-klasową. Drewniany budynek, ale dobry. Po co ją likwidować i pedzić małe dzieci do nowego budynku? Jeśli zbuduje się szkołę w Majdanie, to i krowickie maluchy będą miały blisko do swojej 4-klasówki, a nasze blisko do

nowej szkoły. Co do starszych dzieci, to kawałek dalej, kawałek bliżej, nie zrobi im różnicy. Już nie mam siły... Tyle starań włożyliśmy w to, żeby mieć u siebie porządną szkołę — żali się Michał Kozłowski z Majdanu.

— Tu, czy tu, wszystko jedno, byłyby przedziwne niecierpliwi się Tadeusz Kornaga, kierownik szkoły w Majdanie, sam zamieszkały w Krowicy (mał tamtejszej nauczycielki).

Byłe przedziwne. Na razie jednak nie zanosi się na rozstrzygnięcie. Tu, czy tu, wszystko jedno. Niezależnie wszystko jedno. Miejsce proponowane przez mieszkańców Majdanu Lipowieckiego i Krowicy

Lasowej dzieli od siebie odległość blisko kilometra. Prawie kilometr w tę i prawie kilometr z powrotem, to blisko dwa kilometry, pomnożone przez 25 dni w miesiącu, pomnożone przez 10 miesięcy w roku szkolnym... W imię tego prawie jednego kilometra wybuchają i przysagają namietności, krząją papieżki, a dzieci gnieźdzą się w 3 ciasnym budynkach oświetlanych naftą, brną wieczorami po błocie lub śniegu po pas i ze strachu przed wilkami wspinają się na drzewa.

OD BIERNATA DO CZECHOWICZA

Franciszek Dionizy Kniaźnin

1750 — 1807

Do nocy

Ta cicha rzeczy postawa
Jest moim myślom przyjemną
Witam cię, Nocy łaskawa!
Tyś sama ze mną.

Ciekawy natręt w tej ciszy
Moich tajemnic nie zлові;
A śpiąca chytryść nie słyszy,
Co serce mówi.

Owóż i księżyc wyziera!
Z obłoku wystąpił raczył.
Przez to się liście przedziiera,
By mię obaczył.

Niechże go widzę całego.
O, srebrne koło miesięczne!
Zwierciadło serca prawego
Czyste i wdzicenne.

Jakże to dla mnie brzeg miły,
Skąd widzę rozkosz tej strugi,
Gdzie się twe wdzięki odbyły,
Gdzie takis drugis!

Twarze w obydwoch jednakie
I równą słodycz oglądam...
O, gdybyś serce mi takie,
Którego żądam!

Puławy to także Lubelszczyzna. A na dworze Czartoryskich, który rywalizował z królewskim, w końcu XVIII wieku rozwijało się bujne życie kulturalne. Sprzyjał temu i sam księstwo — Adam, generał ziem podolskich, autor „Katechizmu moralnego” dla uczniów korpusu kadetów, księżna Izabela, zbieraczka pamiątek narodowych, inicjatorka powstania swego rodzaju muzeum (Świątynia Sybilli i Domek gotycki), autorka „Pieśnierzmy w Dobromiu” — i ich dzieci: Adam Jerzy („Bard polski”) i Maria ks. Wirtemberska („Matwina”).

Przez Puławę przewinęło się wielu ówczesnych pisarzy: Piramowicz, Zabłocki, Karpiński, Kniaźnin, Niemcewicz, Woroniec, ale najbliższe związany z nim był nadworny poeta ks. Czartoryskich — Franciszek Kniaźnin. Pisał wiersze holdujące modnemu wówczas sentymentalizmowi — erotyczne pastoralki, erotyki inspirowane niefortunną miłością do ks. Marii i utwory patriotyczne. Upadek powstania kościuszkowskiego i rozbiór Polski zachwiliły jego równowagę psychiczną. Zmarł obłąkany w Końskowoli, gdzie opiekował się nim Zabłocki, który pod wpływem lekkiej narodowej przywdział szaty duchowne i był tam proboszczem.

się tej przepowiedni, dlatego więc na wszelki wypadek wolałem być bardzo grzeczny w obecności grubego pana, którego groźna przepowiednia miała się jednak tak czy tak nigdy nie spełnić.

Wyjechał potem Witold Noskowski z Krakowa, zaraz po tamtej wojnie i krócej w Warszawie, na stałe osiadł jednak w Poznaniu. Spotkałem się z nim już jako dorosły człowiek, napisał mi pięknie w piśmie, gdzie redagował dział kulturalny, o pierwszych

giem z Zaleszczyk do Krakowa, w lipcu czy sierpniu tego roku, noc była ciepła, duszna i we Lwowie wsiadł do tegoż przedziału Noskowski. Przypadek był tym łatwiejszy, że — co warto może przypomnieć dzisiaj — przed wojną dziennikarze, członkowie związku dziennikarzy, podróżowali kolejami za darmo i to pierwszej klasą. Każdy oddział związku i każda redakcja miała po kilka nawet nie raz kart wolnej jazdy, więc i ja wtedy się dziełem w pierwszej klasie pośpiesznego po-

Ze wspomnień

BOY & TAPER

WITOLD ZECHENTER

mych poetyckich książeczkach, moje też wiersze tam drukował, okazał wyczulowość, której zresztą nie wykorzystywałem. Kilka razy tak spotkałem się w Poznaniu czy Krakowie — był jednym z najznamienitszych gości na jubileuszu Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich, przemierzając z nim wtedy późną nocą ulicę Krakowa, jego ulicę, ulicę jego młodych lat: Florjańska, św. Tomasza, św. Krzyża, planty, rynek, mówił, wspominał, jakakaj się jak zawsze, chociaż właściwie z wiekiem trochę opanował te straszliwą wadę wymowy, a może mnie się tak tylko wydawało, może jako dziecko odczuwałem zbyt silnie to jankanie, a jako człowiek dorosły stałem się niewrażliwy na wadę, z którą już nieraz się spotkałem. A ja mu wtedy też przypominałem nasze zabawy, te improwizowane opery w mieszkaniu przy ulicy Wielopole, śmiał się, ale chyba trochę jakby smętnie się śmiał.

Ostatni raz widziałem się z nim na dwa lata przed wojną. Wracałem nocnym pocią-

ciagu i do pierwszej oczywiście klasy wsiadł Noskowski, traf chciał, że do tego samego przedziału. Ucieszyliśmy się bardzo i przez całą noc, do samego Krakowa, gadaliśmy i moję gadali. Wypytywał mnie dokładnie o moje życie, niedawno się ożeniłem, właśnie byłam świeżo upieczonym ojcem, żartował, że wnet z własną córką będę mógł przypominać sobie nasze dawne zabawy, wypytował o warunki mej pracy dziennikarskiej i w rozmowie tej jakoś dowiedział się, że nie mam aparatu fotograficznego i nie zajmuję się fotografią. Na dworcu krakowskim, o świcie, wycelowaliśmy się „z dubeltówki”, jechaliśmy dalej, ja wysiadłem i nie wiedziałem przez cień, że to ostatni raz widzę grubego pana. Ostatni raz słyszę jego jankanie się, ostatni raz widzę jego dobre oczy w żółtawej, ciemno obwisłej twarzy tłuściocha. W kilka dni później nadeszła do mnie przesyłka z Poznania — Noskowski przysłał mi aparat fotograficzny z krótkim listkiem, w którym wyrażał opinię, że dziennikarz powinien równocześnie być też obespany z fotografii.

TAK właśnie, z tym kupieckim & pośrodku, podpisawali swe mi-chalickowe szpoki ów doktor medycyny i b. śpiewak, wychowawca szkół muzycznych w Moskwie i Mediolanie, którzy spotkali się w tych przed pierwszą wojną światową latach przy jednym biurku dziennikarskim w krakowskiej, starej redakcji. Redakcja mieściła się wraz z drukarnią w podupadającym pałacyku, płaskim, parterowym, ciągnącym się wzdłuż odcinka plant, a do domostwa tego należał obszerny plac, pełen trawy, krzewów i wysokich, pięknych drzew. Nie ma już dzisiaj tego pałacyku, nie ma tej zieleni, tych drzew — i nie ma już tych życiowych plant, miękki, z ogrodzonymi trawnikami, ze ścieżkami ziemnymi, po których tak lekko się biegło w dziecinnej zabawie. Dziś wszędzie twardy, bezmyślny asfalt, dziś tam plac parkingowy, kamienny.

Ale wtedy bawiliśmy się wśród tych krzaków i drzew, opodal wejścia do redakcji „Czasu”, korzystając z specjalnego przywileju: dzieci pana redaktora. Inne dzieci biegały, krzyczały, śmiały się opodal, na ścieżkach plant — ja z siostrami miałem prawo bawić się w obrębie redakcyjnego obejścia. Bo mój ojciec także, w tej właśnie redakcji, biurko w biurko, pracował z Boyem i Taperem, nie tylko pracował, ale przyjaźnił się, kóledzy bywali u nas, przynosili dzieciom podarunki, prawie zawsze były to książki — o zwierzątkach, o pałacyku, o przygodach świerszcza... Nie, o przygodach świerszcza przynosił nam, w pięknym, bogato ilustrowanym wydaniu mortkowiczowskim, inny kolega ojca, pan Adam Grzymala-Siedlecki. Ale bywał on rzadziej w naszym ówczesnym mieszkaniu przy ul. Wielopole, częściej wpadał pan doktor Zelenki, a najczęściej wtaczał się sapiąc pan redaktor Witold Noskowski. Oni właśnie dwaj: Boy & Taper.

Piszę: wpadał i piszę: wtaczał się — bo tak było istotnie. Boy był ruchliwy, szybki, zawsze się spieszył, dosłownie wpadał, pogadał, zajął, położył sobie jakąś książkę i już go nie było. Taper za to wchodził powoli, ciężko, zadyszany, zaspany —

był to grubas niezwyklej rozmiarów, ciężko siał na krześle, odpoczywał i długo przesiadywał. Umiał wymyślać ciekawe zabawy, dyrygował nami, śmiał się potężnie, tubalnie. Prosiłiśmy zawsze, by nam zaśpiewał — niekoniecznie dlatego, żebyśmy tak bardzo zapadali za śpiewem, ale dlatego, że gruby pan jękał się niemożliwie, gdy mówił, zaczął się tak, że nie mogliśmy doczekać się końca słowa — za to śpiewał gładko, czysto, bez najmniejszego zacinania się. Potężnym głosem, ciemnym, głębokim, śpiewał nam zawsze piosenkę o Cyganach, co to pod lasem rozpalili ognisko, dźwięczą tam gitary i kastaniety, mężczyźni grają, tańczą kobiety i inne śpiewał piosenki, a czasem śpiewając dyrygował naszą zabawą, co było okropnie śmieszne, gdy na jakąś potężną melodię ryzał: — Witoldku, do kuchni idź i spiesz się, spiesz i przynies dzieł to, czego trzeba nam i nie trać czasu ty, więc spiesz się, idź.

Czasem jednak nie śpiewał, tylko rozmawiał z nami, to znaczy usiłował rozmawiać, ale że się tak straszliwie jękał, więc na tym też wymyśliłiśmy inną zabawę. Jego wada wymowy bawiła nas, choć też czasem i złościła — więc przekomarzaliśmy się z nim i naumyślnie kończyliśmy zaczęte przez niego słowo i zatrzymane w zająknięciu — całkiem irracjonalnie. Nie gniewał się o to, powołał i na taką, na pewno niepedagogiczną zabawę. Był jakby urodzonym bawicielem dzieci, przy swej tuszy potężnej, zwalistej budowie, grubas i jękała był najmlsna nianka, towarzyszem zabaw, toteż bardzo go kochałem.

Staralem się też zawsze być grzeczny w jego towarzystwie, czy gdy był u nas, w mieszkaniu, czy też, gdy spotkałiśmy go, bawiąc się opodal wejścia do redakcji „Czasu”. Zawsze wtedy podchodził do nas, coś zagadał, podrzucił jakąś myśl innej zabawy — podczas gdy rozpedzony Boy, gdy nas ujrzał, najczęściej płał nam jakiegoś figla, na przykład kopnął gdzieś daleko, w krzaki, piękę — i już go nie było, już zniknął w ciemnej bramie sieni „czasowego” pałacyku. Ale przy Noskowskim starałem się zawsze być grzeczny, bo nie raz mi to z całą powagą mówił, że jeżeli nie będę grzeczny, to — jako jego imiennik — będę, gdy wyrosnę, tak gruby jak on. Nie chciałem być tak gruby, tak sapać, tak wolno się toczyć, tak ugiąć pod sobą sprężyn kanapki — bałem



Mało znana fotografia Henryka Wieniawskiego

Po drodze do Rosji Wieniawski wstąpił do rodzinnego Lublina, a następnie odwiedził Warszawę i Kraków.

Tournée Wieniawskiego po Rosji było ważnym etapem w jego życiu. Wiele podróży miało możliwość zetknięcia się i słuchania wielu znakomitych skrzypków.

W końcu lat pięćdziesiątych Henryk Wieniawski miał już niewzruszoną pozycję jednego z pierwszych skrzypków świata. Krażyły o nim legendy, że otrzymał w spadku po Paganinim magiczną sztukę wielkiego artysty.

O osobistym uroku i dobroci Wieniawskiego również opowiadano legendy. Odeska gazeta z owych czasów podaje taką historię:

Pewnego razu, wiosną, na jednej z najbardziej ruchliwych ulic Odessy pojawiła się trójka młodych ludzi — dama w kapeluszu z woalką, w towarzystwie dwóch mężczyzn o artystycznym wyglą-

zmięty słomiany kapelusz i czyniąc ręką gest w kierunku słuchaczy powiedziała po polsku:

— Jeśli gra podobala się wam, zapłaćcie właścicielowi skrzypiec! Po chwili kapelusz napełnił się miedziankami i srebrnymi monetami. Wówczas towarzysza Wieniawskich postawiła go w stop zebra i cała trójka znikła w tłumie.

W 1879 r. nie zważając na groźny stan zdrowia, Wieniawski podejmując artystyczną podróż po południu Rosji. Jakich nieudzielnych wysiłków musiał dokonywać artysta by na estradzie, wspierając się o fortepian, móc grać z temperamentem i z natchnieniem! A koncertów nie można było przerwać, bo do choroby fizycznej dołączyła się finansowa. Liczna rodzina wymagała wielkich wydatków.

Wróciwszy z Moskwy, kompletnie chory, Wieniawski trafił do szpitala. Wzwardział sobie, że na długo wypadł z rytmu życia. Był tym bar-

W obliczu faktów pozytywnych

W CZASACH, w których żyjemy, każdy rok jest zdołany w jubileusz obchodzone przez mniejszy lub szerszy ogół społeczeństwa, a rok 1970 przyniesie Polsce jeden z jubileuszy najpowszechniej atrakcyjnych: 50-lecie Związku Literatów Polskich. Antycypując to wielkie wydarzenie kulturalne warto przypomnieć, że związek powstał w maju 1920 r. z inicjatywy Stefana Żeromskiego i że po nim funkcję prezesa pełnili m. in.: Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Juliusz Kaden-Bandrowski, Maria Dąbrowska.

Tradycja zjazdów literatów polskich sięga tegorocznych 1889 r., potem zorganizowano ich bodaj jeszcze pięć do wybuchu drugiej wojny światowej. Po stryżeniu zwolano w „sielecznym” Lublinie pierwsze ważne zebranie konstytuującego się Związku Literatów Polskich, lecz całkiem formalny zjazd, który już w kronice związkowej opatrzono rezymską jedynką, odbył się w r. 1945 w Krakowie. Do Krakowa powróciliśmy jeszcze raz w ubiegłym roku — ale już więcej refleksyjnie niż uczuciowo. Cóż, był to Zjazd XV.

A teraz mieliśmy XVI Zjazd Związku Literatów Polskich w Koszalinie. Próbowałam kiedyś scharakteryzować kilka naszych zjazdów przymiotnikami: pierwszy krakowski — jako radosny, następny, łódzki — reprezentacyjny, szczeciński z r. 1948 — gorzki, poznański z r. 1957 — odważny i godny... Wydaje mi się, że zjazd koszaliński przypomina w pewnej mierze XI zjazd, sopocki, z roku 1960. Ani wówczas, ani teraz nie było licznych popisów krasomówczych, nie było gwałtownych starć (z wyjątkiem jednego, które nie wywołało dalszych reperkusji). Bo tak, jak wtedy moment dziejowy i miejsce obrad, to jest antypokrowa dżalność odwoławców zachodniolubelskich i bliskość Westerplatte, nakazywały głęboką rozważę, tak i obecnie do powagi i rzetelności skłaniały wydarzenia w Wietnamie i Grecji, i sama ziemia koszalińska, na której znajduje się największy cmentarz polskich żołnierzy.

Pamiętam, siedem lat temu powiedział Jarosław Iwaszkiewicz na zjeździe pisarzy te słowa: „Nasze zebranie w Gdańsku, w chwili dzisiejszej ma szeptaną wymowę. Przyszliśmy tutaj jak do jednego z naszych domów, których wiele mamy na terenie Rzeczypospolitej, ale ten dom szczególnie cenimy...” I teraz także było jasne, że też musimy cenić nasz dom koszaliński, kosztujący wiele polskiej krwi. Z tego więc domu znów rozległy się serdeczne słowa Jarosława Iwaszkiewicza o godności pisarzy polskich, która nakazuje, by nie zabrakło ich protestu wszędzie, gdzie zabija się człowieka.

Motywy walk o polskości ziemi koszalińskiej prowadzonych przez działaczy oświatowych rozwinął szeroko sekretarz Zarządu Głównego ZLP, poeta Jan Maria Gisges, który nie ograniczył swego referatu sprawozdawczego do tematów organizacyjnych. Należy hold bojownikom o tę ziemię złożyć liczni naślepni mówcy, m. in. członek naszego Oddziału Wacław Gralewski i były dziennikarz lubelski Alojzy Sroga. Referat Antoniego Olchy, pod znamennym tytułem „Literatura a powszechność kultury”, zawierał w stosunkowo zwężym ujęciu mnóstwo cennych i interesujących danych o cechach współczesnej kultury w Polsce. Jednym z najważniejszych zjawisk odnotowanych przez A. Olchę jest powstawanie twórczych realizacji sztuk w teatrze amatorskim, zwłaszcza studenckim, realizacji, które są propozycjami odmiennymi od koncepcji teatru zawodowego. A zarazem nie mniej słuszne było stwierdzenie referenta dotyczące samowoli niektórych reżyserów teatrów poezji w stosunku do tekstów literackich. Należałoby też poddać głębszej rozważę ten passus referatu, gdzie była mowa o improwizacji wynaturzonych mód kulturowych pod hasłem swobody artystycznej.

Bardzo uważnie wysłuchano przemówienia Lesława Bartelskiego, który załamany się nad przyczynami nadmiernej długości cyklu produkcyjnego książki. Długo, kiedy krytycy papierowy jest już poza nami, za głoszenie hamulec należy chyba uznać braki w bazie poligraficznej, tzn. mówcy zwracali uwagę na opieszałość Domu Książki w dostarczaniu nakładu z magazynów na półki księgarskie. Wynika ten mankament najprawdopodobniej stąd, że nie stworzono odpowiednich bodźców materialnych dla pracowników księgarskich. Nie ma nadto należytej reklamy, m. in. skazyli się pisarze, zwłaszcza terenowi, na obojętność recenzentów.

Szczególne zainteresowanie wzbudziło przemówienie dyrektora Departamentu Wydawnictw, Heleny Zatorskiej, która przewiduje znaczny wzrost nakładów przy artystycznej. Byr. Zatorska wypowiedziała się za stworzeniem Instytutu Książki, a na razie za powołaniem już dziś komórki analitycznej (mówcy przy Domu Książki). Chodziłoby m. in. o rzetelną informację. Ważna sprawa jest poza tym dopuszczenie co roku nowego zestawu książek do lektury szkolnej.

Nasuwają się mimo woli pytania: dlaczego tak mało było kontrowersji na zjeździe koszalińskim? I zdaje się w końcu, iż główna odpowiedź sprowadza się do tego, że sytuacja polskiego pisarza współczesnego jest już wyraźna i jasna są jego obowiązki, których mu nie trzeba przypominąć, bez których trudno sobie wyobrazić pisarza w Polsce Ludowej — c'est à prendre ou à laisser, jak powiedziałaby Francuz.

Gościenni gospodarze, władze ziemi koszalińskiej i nasi koledzy z oddziału tworzącego na tej ziemi, zorganizowali nam wiele spotkań autorskich w Koszalinie i w terenie. Osobiście zapuściłam się na jakie 80 km w głąb województwa, poza Szczecińsk, pięknie położony między jeziorami, aż do Barwie, liczących 2400 mieszkańców. Poziom młodzieży, z którą rozmawiałam w klubie-kawiarni miasteczka, to, co mi opowiadał towarzyszący mi kierownik powiatowego oddziału „Ruchu”, p. Stanisław Urbanski, i to, co widziałam parę tygodni przedtem w Opolu czy Wrocławiu — to wszystko jest na pewno rezultat „polityki faktów pozytywnych”, do których nawoływał zaledwie siedem lat temu Tadeusz Hołuj na zjeździe sopockim.

Maria Bechzye-Rudnicka

H. Wieniawski w Rosji

ANATOL WIERBICKI

dzie. Byli weseli, żartowali, z zainteresowaniem przypatrywali się przechodniom, oglądali wystawy magazynów. Owi dwaj młodzi mężczyźni to byli bracia Wieniawscy. Na rogu ulicy stał ślepy skrzypek — zebrał grając jakieś proste melodie. Okrzykała go grupka dzieci, przystanął kilkoro dorosłych. Z rzadka ktoś rzucił drobny pieniążek.

Wieniawski i jego towarzysze przystanęli i zaczęli słuchać. Potem rzucili ślepecowi kilka monet i chcieli odejść, gdy wtem... skrzypek zagrał mazurka Wieniawskiego! Grał źle, fałszując i zniekształcając melodie. Henryk z lekką zacierwieniem się, zmieszal i począł się wycofywać — chciał odejść i nie słyszeć zniecania się nad jego utworem. Ale młoda dama zagroziła mu drogę, a potem coś szepnęła do ucha. Józef Wieniawski poparł ją. I oto Henryk Wieniawski podszedł do skrzypka i dotknął jego ramienia powiedział kilka słów. Ślepec zastąpił w zdumieniu, następnie podał nieznajomemu swoje zniszczone, tanie skrzypce. Wieniawski ujął instrument, przyłożył do podbródka i głęboko westchnął, zagrał. Grał ten sam mazurek, lech skrzypce w rękach wirtuosa odezwaly się ludzkim głosem, ich dźwięki przyciągnęły uwagę przechodniów; po kilku minutach „ulicznego skrzypka” okrzykił tłum, zaś ślepy skrzypek stał z rozwartymi ustami nie dowierzając: czyjeś palce wydobywały z jego skrzypiec czarowną melodię. Tymczasem Wieniawski wciąż grał, a gdy skończył i opuścił instrument, rozległy się oklaski i owacje. Dama z woalką podniosła z ziemi

do przynębiony. Tym bardziej, że zbliżał się czas uiszczenia kolejnej raty w towarzystwie ubezpieczeniowym. Trzeba było wpłacić dwa tysiące rubli, w przeciwnym razie przepadnie fundusz ubezpieczeniowy, który należał się rodzinie w wypadku śmierci artysty. Sytuację uratował koncert na rzecz Wieniawskiego dany w Petersburgu przez znakomitych skrzypków i pianistów owych czasów: Auera, Rubinsteina, Dawidowa, Brassena i in. Dochód wyniósł ponad dwa tysiące rubli. Rodzina Wieniawskiego była uratowana.

Artystę przewieziono do pałacu mecenasa i wielbielki jego talentu, hrabiny von Meek i otoczono troskliwą opieką. O życie Wieniawskiego walczyli najlepsi lekarze, m. in. wybitny terapeuta Zacharin. Rosyjskie społeczeństwo z wielkim napięciem śledziło stan zdrowia artysty. Do Wieniawskiego przychodziły liczne listy, gazety i pisma z artykułami o nim, prasa drukowała komunikaty o jego stanie zdrowia. Ale dni Wieniawskiego były policzone — 31 marca 1890 r. umarł nie osiagnawszy 45 lat życia.

Cała muzyczna Moskwa stawiała się 3 kwietnia na panichidzie poprzedzającej przewiezienie ciała Wieniawskiego do Warszawy. Pod kierownictwem M. Rubinsteina zjednoczony chór, orkiestra i soliści Teatru Wielkiego i Konserwatorium Moskiewskiego wykonali „Requiem” Mozarta.

7 kwietnia odbył się w Warszawie uroczysty pogrzeb Henryka Wieniawskiego. Jego śmierć odbiła się głośnym echem w Starym i Nowym Świecie.

a lubił tak z mną „powspominkować”, wbrew zresztą temu, co o wspomnieniach napisał przy jakiejś sposobności, określając je jako niepotrzebne wizyty na cmentarzu czy coś w tym guście. Nie był naturą sentymentalną, może i unikał wspomnień przy innych okazjach — ale o Krakowie lubił rozmawiać, o tym dawnym, który dla niego był Krakowem młodości, dla mnie Krakowem dzieciństwa.

Pamiętam, jak raz, podczas takiego krótkiego jego pobytu w Krakowie, zaproponowałam mu imprezę michalikową. Tak to nazwał w projekcie, którego zrealizowanie marzyło mi się jakoś, sądziłem, że mogłoby to być impreza jakaś niezwykle oryginalna, najrdziejniej krakowska. Otóż planowałam urządzić zjazd twórców Zielonego Balońska — żyli prawie przecież wszyscy, nie tylko główni jego autorzy Boy & Taper, ale też filar wykonawstwa, Trzcinański, i „Stasi- nek” Sierosławski żył jeszcze, i Mrozowska we Włoszech — taki zjazd wspomnień połączony z wykonaniem niektórych tekstów, właściwie nie miałem jakiegoś ściśle ułożonego programu, tylko tyle właśnie, ale gdy tylko to powiedziałem, Boy aż otrząsnął się, oburzył. — Nigdy, nigdy — mówił — to odeszło, to przeszłość, nikt z nas nie żyje, inni żyjemy przecież, nie ci sami. I wyznał mi potem, że nawet nie lubi zaglądać do cukierki Michalika. — Tam straszny — powiedział i powiedział jeszcze, że to, co było, zamknął i w powtarzanych wciąż w nowych wydaniach „Słówkach” i we wspomnieniach, w książce o tamtym Krakowie — i to jest w zupełności wystarczające.

Bardzo był niezadowolony z mojego pomysłu, wprost prosił mnie, bym z tym nigdy już nie „wyjechał”, tak właśnie powiedział, obawiał się pewnie, że „wyjadę” z tym chwytnym niewątpliwie pomysłem w jakimś artykule w druku. Dlatego też nie napisałem o tym wtedy nigdy, choć w tych latach przypadła „okrągła” rocznica, trzydziestolecie, od utworzenia Zielonego Balońska, a zarazem czterdziestolecie założenia cukierki przez Jana Apollinarego Michalika, który też jeszcze wtedy żył, a sławna cukierka, chociaż pod innym właścicielem, wtedy, przed wojną, świetnie prosperowała w niezmięnionej prawie całkiem scenarii swych dawnych pluszowych kanap, dawnych stolików i krzesel, a przede wszystkim całej wspaniałej muzealnej ikonografii swych

ścian, pokrytych karykaturami Sichulskiego, Frycza i iluz innych, wielkimi plótnami i drobnymi rysunkami, z witrażami i z oryginalną, z tamtych lat, szopką.

Ostatni raz widziałem się z Boyem we Lwowie, jeszcze wojennym, w wrześniu 1939 roku. W niedzielę 10 września, po wojennej tułaczce, przybyłem do Lwowa, spotkałem się z przyjaciółmi, kolegami, znajomymi, wykapalem, ogoliłem, odpocząłem trochę — i poszedłem do kawiarni George'a, starym zwyczajem, bo tam można było zawsze spotkać wielu lwowskich kolegów-pisarzy. Z trudem znalazłem krzesło, przysiadłem się do czyjś stolika, panowało podniecenie, gwar rozmów, krzyżowały się okrzyki, powitania, spotykali się ludzie z całej Polski. Co pewien czas rozlegały się alarmy lotnicze, wyleły syreny, ale w gwarze rozmów prawie ich słychać nie było, nikt nie spieszył do schronu, jakby to ogólnopolskie spotkanie w niemożliwie zatłoczonej sali dawało jakieś irracjonalne zapewnienie bezpieczeństwa.

Tam nagle ujrzałem Boya przesuwałego się wśród stolików. Wzruszył wyciągał się do niego dłoń, ścisłano go, niedawno przybył do Lwowa, cieszono się, że jest, witano niemal owacyjnie. Ujrzał mnie — i tak przez dłuższy czas, wśród popychań przechodzących, wśród przerw na nowe przywitania, rozmawialiśmy na stojąco, w zatłoczonej przejściu między stolikami. Boy zapytywał o Kraków — jakże był przywiązany do tego miasta, chociaż niejedną latkę mu przysięgał, kochał Kraków tkliwie i nie wstydził się tego uczucia, wypytywał, czy bomby niemieckie nie uszkodziły miasta, pytał potem o mnie, o moje plany.

Rozmowa z Boyem w tym zatłoczonej przejściu kawiarnianym, w sali pełnej gwaru, nie była łatwa tym więcej, że jedyna dostrzegalna oznaka starzenia się Boya było u niego pewne niedomaganie słuchu. Ucisłkam mu w końcu serdecznie, wyrażając nadzieję, że to nieraz się jeszcze spotkamy, zanim ten cały balagan się skończy — i odeszł, rozrywany w dalszym ciągu, odwołany, witany i obcałowywany. A ja nie wiedziałem przecież, że to ostatni raz widzę ciemne jego spojrzenie, ostatni raz słyszę ciemny jego głos, ostatni raz ścisłam rękę, która przed laty głaskała mnie, dziecko, po głowie, porwała mi piłkę, a może też wkładła byczkę do ust; powiedz „a”...

by nie być uzależniony od obcego czy przypadkowego serwisu fotograficznego.

Oczywiście w tej nocnej rozmowie w lekko mknącym wagonie nieraz padło nazwisko Boya. Właściwie w mych najdawniejszych wspomnieniach postać Boya rzuca się jakby jeszcze dawniej, niż postać Tapera. Jest to jedna z postaci, która należy do moich najwcześniejszych wspomnień dziecińczych — a nie jestem pewny, i niestety nie ma już nikogo na świecie, u kogo mógłbym się o tym upewnić, ale zdaje mi się, że Boy przychodził do mnie jako do dziecka także w charakterze lekarza. Był przecież pediatrą ze specjalnością, a będąc przyjacielem ojca, z pewnością nie odmówił porady i z pewnością też przy jakiejś dziecięcej chorobie korzystał ojciec z jego przyjaźni, bo przecież w naszym domu wcale się nie przelewało.

Boy zresztą w tych moich dziecińczych latach robił nieraz na mnie wrażenie zamysłowego i jakby nawet ponurego, chociaż i on umiał się roześmiać do nas i pobawić. Do nas, do naszego mieszkania, wpadał jak po ogień, zawsze też, gdy spotkaliśmy go na plantach opodal redakcji lub w o wym redakcyjnym, zastrzeżonym ujęciu, spieszył się, pędził, ale zawsze zatrzymał się chociaż na chwilę przy naszej gromadce, pamiętam, nie tylko pisał figle w rodzaju wykopania w krzaki piłki, ale też i porwał nam piłkę i uciekał z nią swoim charakterystycznym krokiem, przyciężkim nieco, jakby niedźwiedziowatym, biegłymi za nim, a krzyku i śmiechu było tyle, że w drzwiach ciemnej, redakcyjnej sieni nieraz stawała jakaś postać kobieca i rzeczowym tonem prosiła o spokój. Boy robił w jej kierunku perskie oki i kładąc palec na wargach uspokajał nasze krzyki i śmiechy, po czym już poważnie i całkiem dorosłe szedł do redakcji.

Po tych dziecińczych moich latach nieczęsto były już nasze spotkania, gdy także niedużo po wojnie, chociaż nie tak bezpośrednio po niej, jak Noskowski, przenosił się do Warszawy. Często jednak odwiedzał Kraków, więc widywaliśmy się w Krakowie lub Warszawie. Przez kilka lat, do wybuchu drugiej wojny, Boy pracował w „IKK” jako recenzent teatralny z Warszawy, ja w tej redakcji pracowałem w Krakowie, gdy więc przyjeżdżał do Krakowa, szedł oczywiście do redakcji i do mnie. Zawsze wtedy znalazł czas na „wspominkowanie sobie”, jak to nazywał,

KONKURS Recytatorski stał się już nie imprezą lecz instytucją artystyczną, której znaczenie nie można mierzyć wyłącznie w skali ruchu amatorskiego. Dorobek przynastu lat dzielących nas od pierwszego konkursu jest bogaty i różnorodny. Trudno odpowiedzieć na pytanie, co uznać za największe osiągnięcie konkursu? Czy wzrost kultury słowa, czy zwiększone zainteresowanie najlepszą literaturą, nie tylko poezją, bo recytuje się przecież również najlepszą prozę, czy wreszcie niezwykłą, prawdziwie masową popularność imprezy?

Przez wiele lat frapował nas właśnie masowy zasięg, liczba uczestników, która stale wzrastała — od kilkunastu tysięcy przed trzynastoma laty do stu pięćdziesięciu tysięcy w roku bieżącym. Entuzjazmowano się recytatorami-chłopami, robotnikami, rzemieślnikami, ludźmi zamieszkałymi często z dala od wielkich centrów kulturalnych, którzy po ciężkiej pracy uciekali do świata pięknego słowa, odkrywali uroki ojczystego języka. Byli wśród nich młodzi i starzy, choć przeważała oczywiście młodzież. W ciągu ostatnich trzynastu lat zaobserwowano też wzmocniony popyt na wydawnictwa poetyckie i to nie tylko klasyków, od kilku lat już recytuje się z estrad współczesnych: Szymborska, Harasymowicz, Białoszewski, Grochowiaka, Różewicz, Brylla i wielu innych. Krag autorów stale się rozszerza, obok polskich pojawiły się nazwiska najlepszych pisarzy świata. „Ruch wolny pięknej mowy”, jak pięknie określił Julian Przybóś, sięgnął po formy teatralne, powstały liczne teatry poezji — zjawisko zrodzone w Polsce i dopiero od niedawna przyjęte przez naszych sąsiadów.

Od wielu lat w turniejach centralnych brało udział ponad sto osób, po sześciu reprezentantów każdego województwa i miasta wydzielonego. Powstawał w ten sposób prawdziwy maraton. Znużeni sędziowie konkursowi po prostu tracili wrażliwość, nie można bowiem w takich poręczach słuchać choćby najlepszej poezji. Organizator — Ministerstwo Kultury i Sztuki, w szlachetnym dążeniu do największej popularności imprezy poczęło zabiegać o możliwie największą ilość i wysokość nagród. Doszło do tego, że dwie trzecie uczestników otrzymywało cenne nagrody, co znakomicie deprecjonowało znaczenie pierwszych nagród konkursowych. Krytykowano też mocno ich rodzaj — kilkutyśne sumy w gotówce wypłacane nawet młodzieży szkolnej. Jak zawsze w takich wypadkach utworzyła się grupa doświadczonych recytatorów — twórców wysokich nagród, którzy przez wiele lat jeździłi z konkursu na konkurs (są przecież jeszcze konkursy im. Gałczyńskiego i im. Broniewskiego) i z reguły zgarniali nagrody. Innym wreszcie niepokojącym zjawiskiem stała się atmosfera giełdy, towarzysząca konkursowi.

Od początku konkursu rozgrywanym jest w trzech kategoriach: młodzieży szkolnej, ogólnej (to jest ludzie pracujący) i młodzieży akademickiej. Podczas eliminacji na szczeblu centralnym panował jed-

nak obyczaj, że kolejno na estradzie występowała cała reprezentacja województwa, co znakomicie utrudniało zorientowanie się w przedmiocie, jaki poziom przedstawiają recytatorzy poszczególnych kategorii.

Słowem: konkurs recytatorski dojrzał do reformy organizacyjnej. Trzeba przynajmniej, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie zlekceważyło słów krytyki. Co prawda niewiele dało się już zrobić w tym roku. Zmniejszono jednak reprezentację do 5 osób, co w bardzo odczuwalny sposób wpłynęło na wrażliwość jury, odrębnie startowali uczestnicy w poszczególnych kategoriach, co ułatwiło zadanie krytyce, gruntownie odnowiono zmienianą od lat skład sądu konkursowego, powołując ludzi również co poprzednio kompetentnych, lecz posiadających świeże spojrzenie, wreszcie choć niedostatecznie, ograniczo-

soki. Taka była zdana opinia krytyki tych wszystkich, którzy od lat śledzą polskie święto żywego słowa. Niestety, ta wysoka ocena nie dotyczy młodzieży szkolnej. Być może, że w poprzednich latach nie było lepiej w tej kategorii, ale dopiero teraz, kiedy młodzież recytowała oddzielnie i kiedy można było porównać jej poziom z innymi grupami, wyszły na jaw liczne niedostatki i zaniedbania. Były oczywiście chlubne wyjątki — to nagrodzeni i wyróżnieni, choć można było się pospieszać z jury czy nie jest zbyt wielu laureatów. W całości jednak młodzież wypadła nad wyraz słabo. Od wielu lat postuluje się, by pewna część nauczycieli-polonistów skorzystała z licznych kursów dla instruktorów żywego słowa prowadzonych pod kierunkiem Centralnej Poradni Ruchu Artystycznego przed odpowiednie poradnie wojewódzkie. Apele te pozostają bez

Wysoko ocenić wypada pracę p. Cholewczyskiej-Wilamowskiej z Gdańska, p. Nardzewskiej z Wrocławia czy p. Zenona Kaczanowskiego. Bo bywa i tak, że instruktor dawno już przeniósł się do innego miasta a jego praca wciąż owocuje. P. Kaczanowski był pionierem ruchu recytatorskiego w Łodzi i wciąż oddziaływał na przodków, (tak było i w tym roku), choć ekipa z województwa krakowskiego, którą obecnie prowadzi Kaczanowski, nie była o wiele gorsza.

Notuje się i mniej przyjemne wypadki. Piękne osiągnięcia miał ongiś Białystok. W mieście tym jednak dziwnie po macoszu traktuje się zasłużonych artystów. Poeta p. Zbigniew Ślaczka był tym, który rozpalil białostocką młodzież. Od dwu lat zabrakło tego doskonałego mentora. Rezultaty nie dały na siebie czekać: Białystok znalazł się na szarym końcu.

światlicy z Boguchwały pow. Rzeszów. Najwyższy jednak poziom zaprezentowała, najładniejszą grupą młodzieży akademickiej. Tu największymi indywidualnościami artystycznymi byli niewątpliwie Teresa Kaźmierczak, studentka z Łodzi i geolog z Warszawy Krzysztof Mroziewicz. Gospodarze tegorocznego turnieju finałowego dołożyli szczególnych starań, by wypadł on okazale i przynajmniej trochę, że udało się to im doskonale. Kameralna sala „Chałki Zaka”, akustyczna, zawsze pełna publiczności, stwarzała dla recytatorów wyjątkowo korzystną atmosferę. Znakomitym pomysłem były gościny recytatorów w świetlicach licznych zakładów pracy w samym Lublinie i na terenie województwa. W ten sposób zrobiono dobrą propagandę imprezy i zyskano dla niej wielu nowych zwolenników, a być może i uczestników. Zadbano też, by goście z całego kraju poznali piękno Ziemi Lubelskiej. Wycieczki do Naleczowa i Kazimierza były ogólnie bardzo pochwlebnie komentowane. Okazało też wypadł pomyślny koncert laureatów w klubie studenckim i koncert laureatów w Teatrze im. Osterwy.

Wstyd Lublinowi przyniosła tylko stolówka w ZNP, gdzie karmiono nadzwyczaj podłe. Z kwoty 45 zł jaką organizatorzy zapłacili za wyżywienie każdego uczestnika stolówka musiała, kosztem żołądków młodzieży, zrobić sobie potężne oszczędności. Szkoda, bo i przez żółądek prowadzi droga do serca.

RUCH WOLNY PIĘKNEJ MOWY

STEFAN ATLAS

no liczbę nagród i przyznano wiele rzeczowych, przez co konkurs nieco „odmaterializował” się.

Od wielu lat zażarcie dyskutowano czy stwarzać dla recytatorów ramy tematyczne w doborze repertuaru. Przeważały raczej opinie, że takie ramy są niewskazane, bowiem zawężają krag poszukiwań repertuarowych. W tym roku konkurs przebiegał pod hasłem 50-rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Pomysł poświęcenia konkursu tej wielkiej rocznicy był doskonały, niestety realizacja nie zawsze dopisała. Najinteligentniejsi, najbardziej twórcy recytatorzy przedstawili bogaty, oryginalny i wartościowy repertuar, mniej ambitni, a do tych zaliczyć, niestety, wypadła młodzież szkolna, ograniczyli się do prezentowania utworów najbardziej znanych i daleko nie najlepszych. Konkurs recytatorski jest świętą szkołą dla pisarzy i krytyków literackich. Zła literatura może nigdzie nie obnażać się do tego stopnia, co w ustach recytatorów. Młodzież szkolna bardzo rzadko wykraczała poza spis obowiązkowych lektur z literatury rosyjskiej i radzieckiej i wydaje się na ten rezultat konkursu, że warto ten spis poddać gruntownej rewizji i wzbogacić o bardziej wartościowe pozycje, które zaprezentowali najlepsi recytatorzy z innych kategorii.

Można stwierdzić, że poziom tegorocznego konkursu był bardzo wy-

jecha. W rezultacie młodzież pozostawiona jest sama sobie, swym często nie najlepszym gustom w zakresie doboru repertuaru, brak jej instruktorów dykcji, brak ludzi, którzy wskazyliby najwłaściwszą interpretację utworu.

Cennym dorobkiem konkursu jest powstanie w kraju kilku ośrodków, gdzie pod kierunkiem instruktorów-entuzjastów utworzyli się środowiska recytatorskie. Od samego niemal początku takim centrum stał się Lublin, (któremu wreszcie przypadł zaszczyt organizowania turnieju centralnego), gdzie p. Romana Piech zdołała skupić dookoła siebie grupę, która dziś przekroczyła już znacznie terytorialne granice Lubelszczyzny. Dziś recytatorzy z Lublina, zamieszkałi w innych regionach, zdołali skupić nowe zastępy entuzjastów, co potwierdziły rezultaty ostatniego konkursu. Podobną „szkołę recytacji” stworzyła p. Henryka Rodkiewicz w Koszalinie. Od wielu lat recytatorzy koszalińscy demonstrują wielką kulturę słowa i znakomity dobór repertuaru. Znana artystka p. Wanda Bartówna tak poprowadziła prace na Mazowszu, że województwo znacznie wyprzedziło stolicę, której brak instruktorów-entuzjastki. Wanda Kuleszyna od kilku lat przywozi ze Szczecina potencjalnych kandydatów do nagród. W tym roku na pięciu — czterech zdobyło nagrody.

Nie bez kozery przypominam nazwiska ludzi, którzy przygotowują najlepszych. To ich wytrwałej, długoletniej pracy zawdzięczamy rozwój ruchu i wysoki poziom recytacji.

Wielu artystów scen polskich, w szkolnym mundurku, debiutowało w konkursie. Od Siemiona po bohater filmu „Popioły” Olbrychskiego. I w tym roku Józef Solak z Katowic, Władysław Miklis ze Szczecina, Anna Kościuk z Bobowicka i Marek Kondrat z Warszawy zademonstrowali prawdziwą sztukę recytacji: nieskazalną dykcję, dobry dobór repertuaru, inteligentną interpretację i wreszcie... talent. Pozostali uczestnicy w kategorii młodzieży szkolnej byli o wiele słabsi.

W kategorii ogólnej poziom był znacznie wyższy niż w latach ubiegłych. Widzowie TV mogli podziwiać niezwykle talent żołnierza — Władysława Wilczka, radiosluchacz zapoznali się z wyborną interpretacją Stanisława Pawlika, murarza z Rzeszowa, zwrócił ogólną uwagę dojrzała Elżbieta Dowiat, nauczycielka ze słynnej Łysej Góry, szkoły społecznego działania, Mira Śnicka, urzędniczka z Gdyni, Antonina Sobota, księgowa z Krakowa, największą może indywidualność konkursu — Anna Glińska, montażystka filmowa z Wrocławia i Celina Heller, kierowniczka wiejskiej

PAWEŁ KAMIŃSKI

Na łące

zerwali dwa złote kielichy
piłi wino
podlaskiego krajobrazu

zakolował widnokrąg
zatanęły kwiaty

on był Apollinem
ona
muzyka
Mozarta

Sokołów Podlaski

RYSZARD FATYGA

Ręce

Ręce drobne ręce
nie znające ciężaru
artystyczne palce
Ręce male gładzące twarz
włosy
Ręce protest
wieniec z tują
Ręce twarde poparzone
z batutą w palcach
Ręce oplecione melodią
najdelikatniejsza pieczęć
dłoni kobiecych i okrzyk
hände hoch

Sędziszów

MISTRZ PIĘŚCI i pięć mistrza

(Dokończenie ze str. 1)

gloryfikujących. Wszystko obraca się wokół pięści — nie wokół charakteru, zachowania się, nie mówiąc już o intelekcie.

Coraz głośniejsze nazwisko znakomicie zapowiadającego się boksera przyciąga ludzi, których zwykliśmy nazywać — czy zawsze słusznie? — działaczami. Wśród nich znaleźli się ludzie z małego miasteczka, które jednak szczyty się tym, że ma dużą i głośnie fabrykę i że leży pod bokiem dużego i równie głośniego miasta. Jak przed dwoma laty przebiegały rozmowy — nikt dziś odtworzyć nie zdoła. Skończyło się na tym, że bokser przeniósł się wraz z rodziną, dostał pracę w głośnie fabryce i nowe mieszkanie. Praca nie była trudna i nie wymagała kwalifikacji, ale wystarczała na życie. Na ringach natomiast bokser wykazywał coraz większe kwalifikacje. Trenował pod kierunkiem mistrza Europy, uczestnika olimpiad. Każda walka to były niemal pewne dwa punkty. Sekcja boksera klubu zaczęła piąć się w hierarchii sportowej.

Tuż koło bramy fabrycznej znajduje się budynek szkoły zawodowej, nieco dalej technikum. W dziale szkolenia fabryki z dumą pokazują zestawienia, że niemal co trzeci pracownik uczy się — w szkołach, na różnych kursach, w szkole inżynierskiej, na kursie magisterskim. Bok-

ser w drodze do domu lub do sali treningowej codziennie przechodził co najmniej dwa razy koło szkoły. Nie poszedł jednak do środka, nikt go nie przekonał, że trzeba tam wejść, że przecież za kilka lat przestanie być mistrzem pięści, potem przestanie być bokserem, że później on i jego rodzina będą musieli żyć wyłącznie z pracy, że skończy się różne ułatwienia, które niekiedy stawały się zwykłymi przywilejami. Klub usadowił się na dobrej pozycji w drugiej lidze, co w konkretnych warunkach małego miasteczka było dużym osiągnięciem — i to wystarczająco.

Pewnego dnia w miejscowej kawiarni doszło do — powiedzmy delikatnie — spiecia. Nie pierwszego i chyba nie ostatniego w karierze tego niezbyt dystyngowanego lokalu. Ale tym razem w spieciu uczestniczył bokser. Sprawy rozegrały się błyskawicznie, mimo iż fachowcy twierdzą, że alkohol opóźnia akcję i reakcję. Skończyło się na tym, że przeciwnik boksera upadł na ziemię, a z rozciętej koło ust twarzy polała się krew. Jedni mówią, że to był efekt ciosu mistrza, inni, że stało się to w czasie upadku na podłogę. Tak czy inaczej sprawa znalazła się w sądzie powiatowym z oskarżenia prywatnego. Dziś działacze, nie tylko klubowi, mówią, że nie nie wiedzieli o rozprawie. I że wskutek tego pozbawiony obrońcy bokser stanął bezradny wobec prawniczych sformułowań. Na gorzcie zaś to, że w śledztwie mówili dość dużo, a na rozprawie zaprzeczali wszystkim. W każdym razie wyrok był surowy:

półtora roku więzienia. Bez zawieszania. Nie wiem, czy w sądzie ujawniono wszystkie szczegóły kariery boksera, czy oświetlono szczeble schodków, po jakich drapał się na ring, czy ujawniono warunki, w jakich mu przyszło dorastać. Wyrok nie jest prawomocny, bo dopiero teraz — już przy pomocy władz klubu i wyższej instancji sportowej — założono rewizję.

Nie wiem także, czy fakt, o którym teraz napiszę, nastąpił wcześniej czy później. Fakt jest, a raczej był dotychczas starannie ukrywany w gronie kilku osób. Otóż pewnego dnia obciążono przedstawiciela pewnej organizacji obowiązkami porozmawiania z bokserem. Jak wynika z aluzji, rozmowa odbyła się w czasie lub po spożyciu przez obie strony pewnej ilości alkoholu. A skończyła się tym, że bokser raz jeszcze zrobił użytek ze swojej pięści, może treszą ręką, co z moralnego punktu widzenia na jedno wychodzi. Zajście dokładnie zaszusowano.

Sześciu czy niesześciu chciało, że zbliżyli się zawody w Palazjo. Gdzieś na wysokim szczeblu tej dziedziny sportu wiedziano o talencie boksera i sile jego pięści. Czy wiedziano coś lub wszystko o człowieku, kryjącym się w skórze boksera — nie wiem. Dość, że pozwolano go na zgrupowanie najlepszych. Tam rzeczywiście wziął się do roboty. Trenował przykładnie, był zdyscyplinowany, wykazywał coraz wyższą formę. Niektórzy z wtajemniczonych twierdzą, że dwukrotnie znokautował — chociaż sam zaprzecza — mistrza olimpijskiego.

Niesześciu polegało na tym, że mistrz olimpijski był niemal pewnym faworytem na złoty medal w tej samej wadze, co nasz bokser. A wysłać można tylko jednego. Trenerzy po naradzie z lekarzem i przeprowadzeniu badań postanowili, że mistrz olimpijski będzie walczył w swojej wadze, a młodszy kandydat na mistrza kontynentu w wa-

dze lżejszej. Będą więc szanse na dwa medale, ale młodszy musi schudnąć — fachowo nazywa się to zrzuć wagę — o kilka kilogramów. Kandydat zgodził się, chociaż taka operacja wymaga dużej dyscypliny wewnętrznej i świadomego zrezygnowania z wielu przyjemności. Nawet więcej — świadomego narażania się na wiele trudności. To znów zaliczam na plus boksera. Tym większy, że wszystko musiało odbywać się przez wiele dni, wymagało konsekwencji, silnej woli, zdyscyplinowania, ambicji. A więc były cechy dodatnie, ale jakkolwiek wcześniej nikt ich nie umiał właściwie wyzyskać, ukierunkować, przetworzyć. I czy — w takim razie — za dwa wyżej opisane wypadki i kilka innych jeszcze wyżej tylko wspomnianych — on sam ponosi winę?

Po zakończeniu imprezy w Palazjo na temat nowo kreowanego mistrza rozmawiałem z działaczami różnego szczebla sportowego — z wyjątkiem centralnego. Zapytałem, czy ci, którzy decydowali poprzednio o wysłaniu do Palazjo, wiedzieli o wyroku i innych sprawach — ale nie otrzymałem ani razu odpowiedzi. W tej sytuacji drugie pytanie, czy — gdyby wiedzieli — zgodziliby się na jego wystąpienie — stało się bezprzedmiotowe. W małym miasteczku przy dużej fabryce jeszcze przed spotkaniem finałowym w Palazjo połowa mieszkańców znała sprawę. W dużym mieście obok po finale kregi wtajemniczonych rozszerzały się z godziłą na godzinę. Jedni obrzuli się, drudzy machali ręką. Działacze i zapaleni kibice sportowi zapytywali mnie: w czym interesie leży publiczne ujawnianie tych spraw? Czy rozżalony mistrz nie rzuci boksu? — zapytywali. Czy w konsekwencji nie wyniknie strata dla sportu, medal, dyplomów, tytułów, punktów?

Nie wiem, co zrobi mistrz, chociaż bardzo wątpię, aby rzucił boksa. Przeszedł zwycięsko 6 schodków na ring, przeskoczył dwa na najwyż-

sze podium. Z tego nie zrezygnuje się łatwo, zwłaszcza, gdy w poprzednich miesiącach wykazało się tyle samozaparcia, tyle — powtarzam — wewnętrznej dyscypliny. Nazajutrz po przyjeździe z Palazjo oświadczył swojemu dyrektorowi i w klubie: od września zaczynam się uczyć dalej. A w rozmowie ze mną on tak, muszę myśleć nie tylko o pięści, ale i o tym, że za 7 czy 8 lat też trzeba będzie utrzymać żonę i dziecko, a ślusarz precyzyjny to zawód, w którym również można być mistrzem...

Gdy po przeszło godzinie zaczętej dyskusji z działaczami na temat „publikować czy nie” wracalem do redakcji, w bramie jednego z domów moze dziesięcioletni wyrostek wołał do drugiego:

— Te, nie bądź taki... — tu padło nazwisko świeżo upieczonego mistrza.

Wielka jest potęga sportu. Jak łatwo mistrzowi stać się bohaterem dnia, tygodnia czy roku! Czy doprawdy jest bez znaczenia, że bohater sportowy ma na sobie nie tylko skazy, ale całkiem duże szramy? A z drugiej strony — czy tylko on sam jest za to odpowiedzialny. Dlaczego dla wielu ludzi był dotychczas tylko dostarczycielem medalu i czas tylko dostarczyć medal w nim punktów? Dlaczego widziano w nim tylko poruszającą się po ringu maszynę do bicia? Nie mówcie o mieszkaniu, nie mówcie o pracy — to jedynie środki, aby maszyna lepiej pracowała.

Celowo nie podalem ani nazwiska boksera ani innych realiów, pozwalających na jego identyfikację, chociaż najbardziej zainteresowani zapewne i tak wiedzą o kim myślałem. Chodzi bowiem nie tylko o jeden czy drugi konkretny przykład, ale i ogólną atmosferę jak i warunki, które kształtują nie tylko boksera, lekkoatleta czy teniszystę — ale i człowieka. O tym ostatnim — zdaje się — zbył często zapominamy.

Jerzy Dostali

RATOWAĆ STARE MIASTO

Przewodniczący Prezydium MRN w Lublinie, Mieczysław Marjański, w wywiadzie zamieszczonym w nr 18 „Kamena”...
Przewodniczący Prezydium MRN w Lublinie, Mieczysław Marjański, w wywiadzie zamieszczonym w nr 18 „Kamena”...
Przewodniczący Prezydium MRN w Lublinie, Mieczysław Marjański, w wywiadzie zamieszczonym w nr 18 „Kamena”...

KUZEBIUSZ LESZCZ
LUBLIN

PÓCZĄTKI LUBLINA

Czytam kolejne artykuły dotyczące historii Lublina, ściślej — daty jego założenia, i zdziwie się, że tak biegli naukowcy są tak sprzeciwi w swoich sądach...
Czytam kolejne artykuły dotyczące historii Lublina, ściślej — daty jego założenia, i zdziwie się, że tak biegli naukowcy są tak sprzeciwi w swoich sądach...

Jag Zygmont Nojek
LUBLIN

Od redakcji: Jesteśmy przekonani, że pozbędzie się Pan tych wątpliwości po powtórku i uważnym przeczytaniu artykułów cyklu.

JESZCZE O ALBUMIE
PLASTYKI LUBELSKIEJ

Kilka tygodni temu za pośrednictwem działu listów „Kamena” pytałem enigmatycznego dla mnie wówczas wydawcę albumu plastyki lubelskiej...
Kilka tygodni temu za pośrednictwem działu listów „Kamena” pytałem enigmatycznego dla mnie wówczas wydawcę albumu plastyki lubelskiej...

A. S.

(nazwisko i adres znane redakcji)

FILM W „KAMENIE”

Dzięki się tyle ciekawych rzeczy we współczesnym filmie. Czy wobec tego „Kamena” nie mogłaby od czasu do czasu poświęcić nieco sprawom nieco miejsca — w postaci np. popularnego felietonu lub innej?

Z poważaniem
Mieczysław Derzenko
BIAŁYSTOK

„PRZESTAŃMY SIĘ
CZAROWAĆ”

„Cudów nie ma. Z takim dorobkiem twórczym nikomu nie uda się namówić początkujących pisarzy do współpracy z poważnymi piśmami literackimi i społeczno-kulturalnymi...
„Cudów nie ma. Z takim dorobkiem twórczym nikomu nie uda się namówić początkujących pisarzy do współpracy z poważnymi piśmami literackimi i społeczno-kulturalnymi...

Serdecznie pozdrawiam
O. D.

(nazw. i adres znane redakcji)

od BIEBRZY
NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Z inicjatywy Białostockiego Towarzystwa Kultury odbył się zjazd założycielski Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Pięknych...
Z inicjatywy Białostockiego Towarzystwa Kultury odbył się zjazd założycielski Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Pięknych...

Również z inicjatywy BTK zorganizowano w dniach 9-10 czerwca zjazd towarzystw regionalnych z terenu województwa...
Również z inicjatywy BTK zorganizowano w dniach 9-10 czerwca zjazd towarzystw regionalnych z terenu województwa...

Specjalna — powołana ostatnio do życia komisja — zajmie się weryfikacją instruktorów amatorskich zespołów artystycznych...
Specjalna — powołana ostatnio do życia komisja — zajmie się weryfikacją instruktorów amatorskich zespołów artystycznych...

W połowie czerwca Białostocka Orkiestra Symfoniczna uczestniczyła w Festiwalu Orkiestr Polskich Północnej, który odbył się w Ciechocinku...
W połowie czerwca Białostocka Orkiestra Symfoniczna uczestniczyła w Festiwalu Orkiestr Polskich Północnej, który odbył się w Ciechocinku...

W foyer białostockiego teatru — kolejna wystawa. Tym razem: „Dramat rosyjski i radziecki na scenie Teatru Dramatycznego im. Al. Węgliński”...
W foyer białostockiego teatru — kolejna wystawa. Tym razem: „Dramat rosyjski i radziecki na scenie Teatru Dramatycznego im. Al. Węgliński”...

KIELCE

Obradował tu X Statutowy Wojewódzki Zjazd TPPR. Przybyło 138 delegatów. W prezydium zasiadł m. in.: I sekretarz ambasady ZSRR w Warszawie Iwan Korcma i sekretarz ZG TPPR Edwarda Orłowska...
Obradował tu X Statutowy Wojewódzki Zjazd TPPR. Przybyło 138 delegatów. W prezydium zasiadł m. in.: I sekretarz ambasady ZSRR w Warszawie Iwan Korcma i sekretarz ZG TPPR Edwarda Orłowska...

W bieżącej pięcioletniej Państwowa Orkiestra Symfoniczna i Teatr Lalki i Aktora „Kubus” otrzymają wreszcie lepsze pomieszczenia...
W bieżącej pięcioletniej Państwowa Orkiestra Symfoniczna i Teatr Lalki i Aktora „Kubus” otrzymają wreszcie lepsze pomieszczenia...

W Busku-Zdroju zorganizowano spotkanie dziennikarzy pism centralnych i wojewódzkich celów spopularyzowania polskich utworów. Goście zwiedzili Busko-Zdrój i Solec oraz na Lubelszczyźnie — Naleczów...
W Busku-Zdroju zorganizowano spotkanie dziennikarzy pism centralnych i wojewódzkich celów spopularyzowania polskich utworów. Goście zwiedzili Busko-Zdrój i Solec oraz na Lubelszczyźnie — Naleczów...

Tego lata na obozy szkolenowo-wypoczynkowe ZMW z województwa kieleckiego wyjadzie około tysiąca osób. Będą się one uczyć i wypoczywać nad Pilicą, niedaleko Hialobrzegów...
Tego lata na obozy szkolenowo-wypoczynkowe ZMW z województwa kieleckiego wyjadzie około tysiąca osób. Będą się one uczyć i wypoczywać nad Pilicą, niedaleko Hialobrzegów...

LUBLIN

Jak co roku, Prezydium MRN przyznało szereg nagród i odznaczeń...
Jak co roku, Prezydium MRN przyznało szereg nagród i odznaczeń...

PLASTYKA

Włoska wizytówka

Z DUŻYM zaciekawieniem oczekiwaliśmy w Lublinie na zapowiedzianą od kilku tygodni wystawę współczesnej plastyki Modeny, włoskiego miasta o odległych i bogatych tradycjach kulturalnych...
Z DUŻYM zaciekawieniem oczekiwaliśmy w Lublinie na zapowiedzianą od kilku tygodni wystawę współczesnej plastyki Modeny, włoskiego miasta o odległych i bogatych tradycjach kulturalnych...

Współczesna sztuka włoska zawsze, jak dotąd, wzbudzała zainteresowanie polskiej krytyki i publiczności. Mam jeszcze w pamięci rozgłos towarzyszący wizycie warszawskiej i wystawie Emilio Vedovy, wówczas reprezentującego orientację taszystowską...
Współczesna sztuka włoska zawsze, jak dotąd, wzbudzała zainteresowanie polskiej krytyki i publiczności. Mam jeszcze w pamięci rozgłos towarzyszący wizycie warszawskiej i wystawie Emilio Vedovy, wówczas reprezentującego orientację taszystowską...

A teraz Modena, a z nią cały zespół momentów zmuszających do potraktowania ekspozycji na nieco odmiennych od zazwyczaj stosowanych zasadach...
A teraz Modena, a z nią cały zespół momentów zmuszających do potraktowania ekspozycji na nieco odmiennych od zazwyczaj stosowanych zasadach...

Lubelskie środowisko naukowe poniosło wielkie straty.
27 maja zmarł
prof. dr ARMIN TESKE
członek PAN, kierownik Katedry Fizyki Ogólnej na Wydz. Mat.-Fiz.-Chem. UMCS.
11 czerwca zmarł
prof. dr
ALEKSANDER WOLTER
kierownik Katedry Prawa Cywilnego UMCS, członek wielu towarzystw naukowych.

OD REDAKCJI

Bieżący numer „Kamena” ukazuje się w wyjątkowo szczupłej objętości. Trzeba było oddać papier, zużyty na wydrukowanie poświęconego nr 18, poświęconego jubileuszowi Lublina...
Bieżący numer „Kamena” ukazuje się w wyjątkowo szczupłej objętości. Trzeba było oddać papier, zużyty na wydrukowanie poświęconego nr 18, poświęconego jubileuszowi Lublina...

za szczególne zasługi dla miasta Lublina. W pionie kultury nagrody otrzymał: zespół — art. plastycy Przemysław Zwoliński i Andrzej Kolodziej, indywidualnie II stopnia — dr Maria Siankowska z Woj. Archiwum Państwowego w Franciszka Smolnicka ze Spółdzielni im. H. Sawickiej...
za szczególne zasługi dla miasta Lublina. W pionie kultury nagrody otrzymał: zespół — art. plastycy Przemysław Zwoliński i Andrzej Kolodziej, indywidualnie II stopnia — dr Maria Siankowska z Woj. Archiwum Państwowego w Franciszka Smolnicka ze Spółdzielni im. H. Sawickiej...

Lubelski Zamek zostanie w całości przeznaczony na muzeum. Miejszyscy się tutaj Wojewódzki Dom Kultury będzie przeniesiony do innego lokalu...
Lubelski Zamek zostanie w całości przeznaczony na muzeum. Miejszyscy się tutaj Wojewódzki Dom Kultury będzie przeniesiony do innego lokalu...

Nakładem PIW w „Bibliotece Połtow” ukazały się „Wiersze wybrane” Józefa Czechowicza. Wyboru dokonał Tadeusz Różewicz...
Nakładem PIW w „Bibliotece Połtow” ukazały się „Wiersze wybrane” Józefa Czechowicza. Wyboru dokonał Tadeusz Różewicz...

Niedawno z okazji Dni Lublina występował w stolicy województwa Ludowy Zespół Chórno-Baletowy z Debręcyna. W przyszłym roku do Debręcyna wyjadzie ognisko baletowe Wojewódzkiego Domu Kultury...
Niedawno z okazji Dni Lublina występował w stolicy województwa Ludowy Zespół Chórno-Baletowy z Debręcyna. W przyszłym roku do Debręcyna wyjadzie ognisko baletowe Wojewódzkiego Domu Kultury...

W dzielnicy Nadbystrzyckiej otwarto niezadziwną świetlicę młodzieżową urządzoną w dwóch połączonych autobusach wycofanych z eksploatacji...
W dzielnicy Nadbystrzyckiej otwarto niezadziwną świetlicę młodzieżową urządzoną w dwóch połączonych autobusach wycofanych z eksploatacji...



NIEDAWNO obchodził 10-lecie „TYGODNIK KULTURALNY”, który z tej okazji wydał bogaty i ciekawy numer specjalny. Pismo to, ukazujące się poprzednio pod tytułem „Orka”, przechodziło różne metamorfozy...
NIEDAWNO obchodził 10-lecie „TYGODNIK KULTURALNY”, który z tej okazji wydał bogaty i ciekawy numer specjalny. Pismo to, ukazujące się poprzednio pod tytułem „Orka”, przechodziło różne metamorfozy...

Naczelnym redaktorem „Tygodnika Kulturalnego”, Stanisław Adamecki, w artykule wstępnym „Na czym nam zależy” określa obecny charakter pisma: „Jesteśmy i chcemy być nadal pismem społecznego ruchu kulturalnego w naszym kraju...
Naczelnym redaktorem „Tygodnika Kulturalnego”, Stanisław Adamecki, w artykule wstępnym „Na czym nam zależy” określa obecny charakter pisma: „Jesteśmy i chcemy być nadal pismem społecznego ruchu kulturalnego w naszym kraju...”

Sądymy, że dzięki takiemu spojrzeniu nawiązuje się za pośrednictwem pisma pożyteczny dialog twórców z odbiorcą, z popularyzatorami literatury i sztuki w Polsce...
Sądymy, że dzięki takiemu spojrzeniu nawiązuje się za pośrednictwem pisma pożyteczny dialog twórców z odbiorcą, z popularyzatorami literatury i sztuki w Polsce...

Wagę takiej formy pisma potwierdza bogaty zestaw wypowiedzi pisarzy z okazji rocznicy pisma. Piszana o „Tygodniku”, o jego profilu, zadaniach wobec czytelników...
Wagę takiej formy pisma potwierdza bogaty zestaw wypowiedzi pisarzy z okazji rocznicy pisma. Piszana o „Tygodniku”, o jego profilu, zadaniach wobec czytelników...

„Kamena” życzy redakcji, aby jej wysiłki doprowadziły do stworzenia pisma talismasowego, o jakim pisał J. Przyboś, tak wrażliwego, o jakim wspominał W. Żukrowski...
„Kamena” życzy redakcji, aby jej wysiłki doprowadziły do stworzenia pisma talismasowego, o jakim pisał J. Przyboś, tak wrażliwego, o jakim wspominał W. Żukrowski...

„KURIER LUBELSKI” poświęcił sporo uwagi lubelskiemu środowisku plastycznemu w rozmowie W. Wójcikowskiego z Edwardem Nadulskim, zatyłtułowanej „Środowisko z ambicjami”...
„KURIER LUBELSKI” poświęcił sporo uwagi lubelskiemu środowisku plastycznemu w rozmowie W. Wójcikowskiego z Edwardem Nadulskim, zatyłtułowanej „Środowisko z ambicjami”...

Dzięki aktywności lubelskiego środowiska plastycznego rośnie rola plastyki nie tylko na jej tradycyjnych terenach...
Dzięki aktywności lubelskiego środowiska plastycznego rośnie rola plastyki nie tylko na jej tradycyjnych terenach...

„Można powiedzieć, że rolę i pracę plastyka dostrzegamy coraz powszechniej niemal wszędzie — po...”

Kam.

RZESZÓW

Dokonano tu wyboru nowego Zarządu Okręgu ZPAW. Prezesem został Jerzy Majewski, w skład Zarządu weszli: Zygmunt Czerwik, Mirosław Korbiel...
Dokonano tu wyboru nowego Zarządu Okręgu ZPAW. Prezesem został Jerzy Majewski, w skład Zarządu weszli: Zygmunt Czerwik, Mirosław Korbiel...

Na początku czerwca przebywała na Rzeszowszczyźnie delegacja iwońskich naukowców. Goście swiadczą wyrazie uczucia Rzeszowowi; podczas spotkań z władzami WSP i WSI omówiono formy współpracy...
Na początku czerwca przebywała na Rzeszowszczyźnie delegacja iwońskich naukowców. Goście swiadczą wyrazie uczucia Rzeszowowi; podczas spotkań z władzami WSP i WSI omówiono formy współpracy...

W dorocznym Konkursie Młodych Form Literackich organizowanym już po raz siódmy przez Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia „PAX” w Lublinie dla młodych pisarzy z województwa, pierwszą nagrodę otrzymał Stanisław Broder z Wołkowyi (pow. Lesko). Nagrodę specjalną za twórczość ludową przyznał Józefowi Kapuścińskiemu z Przemysla...
W dorocznym Konkursie Młodych Form Literackich organizowanym już po raz siódmy przez Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia „PAX” w Lublinie dla młodych pisarzy z województwa, pierwszą nagrodę otrzymał Stanisław Broder z Wołkowyi (pow. Lesko). Nagrodę specjalną za twórczość ludową przyznał Józefowi Kapuścińskiemu z Przemysla...

W Muzeum Okręgowym otwarto wystawę exlibrisu województwa rzeszowskiego na tle exlibrisu polskiego...
W Muzeum Okręgowym otwarto wystawę exlibrisu województwa rzeszowskiego na tle exlibrisu polskiego...

W Debicy odbył się III Doroczny Przegląd Amatorskich Zespołów Dramatycznych środowisk wiejskich powiatu debickiego. Wzięło w nim udział 11 zespołów, pierwsze miejsce zajął zespół z Łek Górnych, który wystawił „Grzech” Żeromskiego...
W Debicy odbył się III Doroczny Przegląd Amatorskich Zespołów Dramatycznych środowisk wiejskich powiatu debickiego. Wzięło w nim udział 11 zespołów, pierwsze miejsce zajął zespół z Łek Górnych, który wystawił „Grzech” Żeromskiego...

czynając od urzędzenia wewnątrz w sklepach i innych placówkach użyteczności publicznej, a kończąc na reklamie i nalepkach oraz opakowaniach towarów...
czynając od urzędzenia wewnątrz w sklepach i innych placówkach użyteczności publicznej, a kończąc na reklamie i nalepkach oraz opakowaniach towarów...

Jak bardzo taka współpraca wychodzi na zdrowie obu stronom, wykazują doświadczenia szczebińskie, o których pisze E. Kieszkowski w „TYGODNIKU MORSKIM”. Dzieścielotnia współpraca plastyków z miejscową stoczną dała wartościowe rezultaty...
Jak bardzo taka współpraca wychodzi na zdrowie obu stronom, wykazują doświadczenia szczebińskie, o których pisze E. Kieszkowski w „TYGODNIKU MORSKIM”. Dzieścielotnia współpraca plastyków z miejscową stoczną dała wartościowe rezultaty...

Owoce współpracy okazały się bogate, bowiem stoczną, stała się jednym z głównych nabywców dzieł plastycznych szczebińskich twórców. Ponadto współpracujący z nią plastycy i malarze otrzymali pięć pracowni plastycznych z tzw. budownictwa zakładowego...
Owoce współpracy okazały się bogate, bowiem stoczną, stała się jednym z głównych nabywców dzieł plastycznych szczebińskich twórców. Ponadto współpracujący z nią plastycy i malarze otrzymali pięć pracowni plastycznych z tzw. budownictwa zakładowego...

A więc można i tak, i to jest mały przyczynek do dyskusji o „neomagaterii”, o której dyskutował niedawno Drewnowski z Putramentem. „POLITYKA” zamieszcza zresztą nadal artykuły z tą sprawą związane, ściślej: z losami pieniędzy, przeznaczonych przez wielkie zakłady pracy na kulturę...
A więc można i tak, i to jest mały przyczynek do dyskusji o „neomagaterii”, o której dyskutował niedawno Drewnowski z Putramentem. „POLITYKA” zamieszcza zresztą nadal artykuły z tą sprawą związane, ściślej: z losami pieniędzy, przeznaczonych przez wielkie zakłady pracy na kulturę...

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielicki, Jerzy Dostaliński (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski...
Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielicki, Jerzy Dostaliński (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski...

Informacje w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty...
Informacje w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty...

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49...
Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49...

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131 Zam. 229 12.VI.67 P-3

Ostatnia strona

JESTEM pełnym czytelnikiem prasy. Szczególnie lubię czytać wiadomości zamieszczone na ostatnich stronach naszych gazet. Lektura ta jest nieocenionym źródłem wiedzy tak potrzebnej w życiu współczesnego człowieka, dostarcza mu ona nie tylko informacji o świecie, ale i komentarza umożliwiającego odpowiednie orientowanie się w skomplikowanych zjawiskach.

Oto kilka bardziej interesujących wiadomości.

Dziennik przeznaczony dla wsi: „OWIADZY PRZYCZYNA TRAGEDII. Śmierć Daniele Deleis, córki wicemera w Lens była dla rodziny i przyjaciół zagadką. Morderstwo, czy samobójstwo? Nie było powodu do jednego ani drugiego. Kurek w mieszkaniu był otwarty, żadnego śladu rękawku. Dziewczyna, studentka filozofii,

miała narzeczonego. Stosunki między nimi układały się jak najlepiej i nie dawały powodu do niepokoju. Dopiero dokładnie przejrzenie jej papierów wyjaśniło zagadkę. Daniele interesowała się astrologią i głęboko wierzyła, że z gwiazd można odczytać przyszłość. Postanowiła więc dowiedzieć się przy pomocy horoskopu, jaka będzie jej przyszłość. Wynik z niego, że narzeczonego jej nie kochał. Daniele była zrozpaczona. Dołączyła do horoskopu kartkę, w której oświadczyła, że nie jest w stanie przeżyć tak straszliwej wiadomości i woli pozabawić się życia. Narzeczonego zakochany i przez myśl mu nawet nie przeszło, że przyczyną tragedii mogła być przepowiednia z gwiazd o jego rzekomej objętości. Kiedy dowiedział się, że stał się powodem jej śmierci, usiłował wypełnić samobójstwo. W stanie ciężkim znajduje się w szpitalu”.

W problematykę zaświatów przenosi nas imna, rewelacyjna wiadomość, zamieszczona tym razem przez szacowny dziennik ogólnopolski.

200 TYS. DOLARÓW ZA ZNALEZIENIE DUSZY. W Phoenix, w amerykańskim stanie Arizona, sad ma do rozstrzygnięcia niezwykle trudny problem — jakiej instytucji przydzielić spadek 250 tys. dolarów. Spadek ten pozostawił pewien górnik, zaznaczając w testamentie, że ma on być przeznaczony na badania naukowe, czy dusza ludzka po śmierci opuszcza ciało, czy pozostaje z nim nadal związana. W Stanach Zjednoczonych, ani w żadnym

innym kraju, jak dowiedzieli się czytelnicy, nie ma instytutu, zajmującego się takimi badaniami. Toteż debata nad tym, jakiej instytucji przydzielić spadek trwała przez kilka tygodni. Ponieważ żadna z instytucji w Ameryce nie dawała gwarancji, że spełni ostatnią wolę zmarłego, debata została odroczona do następnego miesiąca”.

Czytelnik lubi, gdy gazeta traktuje go poważnie. Chodzi więc nie tylko o to, aby prasa dostarczała mu odpowiednich wiadomości, ale także informowała, do czego może on ją wykorzystać. Tak, jak to czyni na przykład znana warszawska popołudniówka.

„UWAGA DZIAŁKOWICZE! OKOPYWAJ JABŁON I ZNAŁAZŁ BRYŁĘ ZŁOTA WAGI OKOŁO 1 KG. Mieszkaniec wsi Leniska w obwodzie czelabińskim na Uralu, I. Postnikow, okopując jabłoni rosnącą w jego ogrodku dokopał się... złota. Znalazł go przez niego bryłka złota wagi prawie 1 kg”.

Nie wiem, ilu działkowców w Polsce przypisało do ponownego okopywania jabłoni w swoich ogrodkach, ale na pewno im uwaga nie przeszkodziła. Oto prawdziwy przykład troski gazety o dobro swoich czytelników, oto wzór dziennikarskiej roboty.

Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że możemy powiedzieć, iż takie wzory nie są u nas wy-

jątkami. Prasa nasza w miarę swoich sił stara się przeprowadzić czytelnika przez paszeczki wszelkich problemów, podając mu najtrudniejsze nawet problemy w prostej i lekkiej formie.

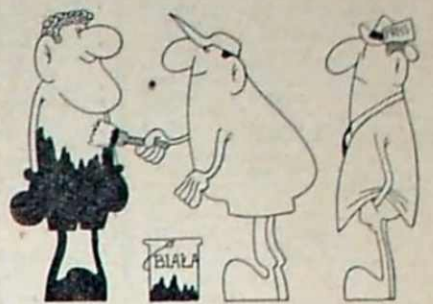
Główna jest od pewnego czasu sprawa bokserkiego mistrza świata, Cassiusa Claya, który nie przywdział amerykańskiego mundurka i nie udał się do Wietnamu, by walczyć za złą sprawę. „Nie mam nie przeciwko Wietnamczykom — powiedział Clay. — Tu, w naszym rodzinnym Louisville my, Murzyni, pozbawieni jesteśmy wolności i równych praw. Każę się jednak oddać nam życie za rzekomą wolność innego narodu”. Sprawa Claya znalazła się na łamach naszej prasy. Pewien duży, acz lekko redagowany dziennik warszawski tak skomentował całą sprawę:

„CLAY ZNOKAUTOWANY PRZEZ SAD. Amerykański Sad Najwyższy w Waszyngtonie odrzucił prośbę zawodowego mistrza świata w boksie, Cassiusa Claya o niepowolanie go do wojska. Cassius Clay ma już zakontraktowane 3 spotkania, które przyniosłyby mu pół miliona dolarów. Niestety, służba nie drużba”.

Stare porzekadło o służbie nie drużbie pasuje tu jak pięć woko. Chyba, że się ma na myśli służbę dziennikarską. Czytając jednak niektóre informacje dochodzi się do przekonania, że nie jest to ani służba, ani drużba.

BAR

Z życia bokserów



Żarty Wiesława Fuglewicza

Z cyklu „Moje deklinacje”

Na balkonie

SŁONCE przygrzewa. Jest wiatr. Małe chmury biegają po niebie, cicho, tam i z powrotem, fioletowe ze zmęczenia. Niektóre krążą wokół słońca jak pukszyki śmy i potem, niespodzianie, nagłym wstrząsem skrzydeł rzucają się do ucieczki i giną za horyzontem.

Musiąłem się już nieźle opalić. Podnoszę się z leżaka i zaglądam w sybę. Ciało jest czekoladowe i usniech jest słoneczny. Zafusowanym palcem rozmaruję go na szybie. Zycie jest piękne.

Wszystkie chmury pociękały i słońce, trochę cofnięte w głąb nieba, jest małe jak kwiat. Ale niebo kołysze się od upału. Balkon także zaczyna przychyłać się to w tę, to w tamtą stronę. Nieco się boję, że wypadną z leżaka. Ale trzymaj się mocno, żeby trzymać się mocno.

Najważniejsze, żeby trzymać się mocno.

Wspominam piękne moje dzieciństwo. O rety, jakie było piękne. Wszyscy mamy piękne dzieciństwo. Ale później nie wiadomo co. Lepiej nie myśleć. Ale trzeba myśleć. Więc pewnie jutro będzie padał deszcz. Może będzie ładna pogoda. Ale możliwe też, że będzie padał deszcz.

Trzeba myśleć.

Z buku, przy drodze, na wysokim słupie wisi człowiek. Przykręca miedziany drut do saklanych łałek. Robi to z czułością. Długo głodzi drut gestem aż w nieskończoność. W drutach jest światło. A słońca jada uśmiechnięte samochody. Nie lubię motocykli: pewien inżynier wpadł do kadzi z roztopionym żelazem i teraz turkocze we wszystkich motorach. Na tylnych siedelkach jada piękne dziewczyny.

Jasne, że wszystko zależy od punktu widzenia.

W szkole pewnego filozofa przyjeły był dość dziwny zwyczaj. Uczniowie słuchali jego wykładów zawieszony rekami na wysokiej żelaznej ramie. Jakiej dziś używa się do trzaskania dywanów. Było to meczące. Ale mistrz chciał właśnie udowodnić, jak zwykle zmęczenie wpływa na twarzą. Zauważył, że w rezultacie po kilku godzinach uczniowie opadali na ziemię, radykalnie zmieniając punkt widzenia.

Trzeba znać życie.

Po moim balkonem przechodzą ludzie. Ale kiedy wychylam się przez balustradę ukrywają się za swoimi twarzami. Nie chcą być natrętni i szybko się odwracają. Czuję, że teraz oni mi się przypatrują. Ale kiedy jeszcze raz robię pół obrót, widzę, że idą spokojnie, ukryci wciąż za twarzami. Znowu odwracam się i często przez cały dzień kręcę się rytmicznie, jak w tańcu, w upojonym walcu snrzed wieczności. A wreszcie ktoś tam w dole roześmieje się, wyciągnie do mnie palec i zawieramy porozumienie: trzeba się śmiać.

Trzeba się śmiać, bo śmiech to zdrowie.

Ala żona wola na obiad. Podając pomidorową zupę, pyta: — Czymże jest życie? —

Odpowiadam: —

Musimy tę sprawę dokładnie rozważyć. Trzeba przyjąć odpowiednie założenia i zastosować właściwe metody. Należy zbadać wszystkie argumenty, które uzasadniają to twierdzenie i poddać krytycznej analizie wszystkie twierdzenia przeciwnie. Grunt to nauka.

I zabieram się do obiadu.

Janusz Danielak

POSTE-RESTANTE

Tytuł naszej rubryki Poste-Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce.

Oto wiersz p. Ryszarda Ch. z Białegostoku:

„GIGOLLO”

To pojęcie mało osób zna,
To nie to samo, co dwa plus dwa.
Gigollo to człowiek ciekawej wartości,
Gdyż drwi on sobie z miłością.
Gigollo w dziewczęta się nie kocha,
Ale przez niego nocą niejedna słońca.
Gigollo miłością się nie bodzi —
On zostawia damy na lodzie.
Choć niejedna zakochana w nim po uszy,
Gigollo to wcale nie wruszy.
Co! Nie ma duszy?
Skąd! Ma duszę, wszystko widzi,
Lecz z kobiecęj miłości on sądzi.
Sam on sobie wybiera partnerkę.
A gdy zobaczy, że ta ma usterkę,
Dziewczę z kwitkiem odstawia...
Tak się sprawa Gigolla przedstawia.

A oto jeden z lirycznych wierszy p. Ryszarda Bicz z Krakowa, nadesłany bezpośrednio do tej rubryki:

RYSZARD BICZ

TAK CICHOO...

Tak cicho,
tak pustko
i smutno.

Tak tęskno,
tak nudno
i głucho.

Wiec brzydki,
nie zwiekał,
bo czekał.
Nie pozwól, by dręczył
mnie żal!

Nie pozwól, by serce
mie ukłota
jak za oknami lka wiatr.

Odpowiedź redakcji — w następnym numerze

MINUTA MYŚLENIA

Co będzie z herbatą?

STANISŁAW R. Lipiński napisał powieść pt. „Narcyza”. Jeśli mówi o tym felietonista, wynikałoby, że powieść jest zła. Ale po tym stwierdzeniu nie byłoby felietonu, jak nie ma powieści kryminalnej po ukłmierzniu przestępcy. Tymczasem powieść Lipińskiego nie jest zła nie tylko pod względem tematu. Nie jest zła przez swe wyraźne zalety literackie, przez rzadko ostatnio spotykaną w prozie dociekliwość psychologiczną, przez sprawność i celność artystycznego przekazu. Więc?

Tu może należałoby mówić nie o samej szczerpłej książeczce, ale w ogóle o sytuacji prozaka, pisarza, powieściopisarza. Z gruntu: kiedyś, a nawet do niedawna w rodzaju literackiej był czymś w rodzaju normatywnych pojęć o świecie. Casy Zeromski da się wyeksplikować jako bojownik o polskość i wyróżnianie niesprawiedliwości społecznych. Przybyszewski, apostoł psychologicznego strip-tease'u i kapłan czarnej mszy odprawianej na rzecz podświadomości. Reymont — plewka biologicznego zdrowia uwarunkowanego bliskością głębi. Pisarz był stacją wysyłkową serwującą własne stanowisko filozoficzne na obszarze społecznego odbioru. Działalność stała się być tylko przekazywaniem. Przekazywaniem tych wszystkich napięć, konfliktów i komplikacji, które wyczuwa we współczesnym świecie, a którym odmawia własnego komentarza w obawie o przekroczenie uprawnień przysługujących artystyce. Granic rzetelności twórczej.

Znamienna jest pod tym względem metamorfoza prozy Brandysa, który w „Listach do pani Z.” odsłonił się wyraźnie z zasobem swoich kryteriów w odmiernianiu sprawiedliwości temu światu, a

w „Rynku” noszącym ten sam podtytuł „Wspomnienia z teraźniejszości” już tylko „widzi i opisuje”, nieczemu się nie sprzeciwiając. Może by więc mimo całej intelektualnej kunsztowności prozy dzisiejszej mówić o jej rezygnacji z kompetencji, z dyspozycji filozoficznych?

Chyba to całkiem wyraźnie wiadać na przykładzie książki Lipińskiego. No cóż. Podobno, żeby pisać wcześniej trzeba mieć coś co się nazywa „wizją”. A jeszcze wcześniej coś, co się nazywa „pasją”. Podobno dopiero wtedy spełnienie artystyczne osiąga swój kształt. Tymczasem tu stało się na odwrót. Końcowy produkt pracy pisarskiej wykazuje całkiem wysoką klasę, podczas gdy poprzednie stadia nie legitymują swej celowości. Łącznie z uruchomieniem produkcji. Czy naprawdę, umie się przekazywać, a nie umie się wymagać, czy choćby tylko proponować?

Bo tak. Powieść Lipińskiego zawiera świetnie (świetny!) znaną mimo końcowej części akapitowy opis psychologiczne na temat zbliżenia seksualnego. Ale podobno nie wystarczy przyłożyć zwierciadło (spokój, panowie, tu

i tak nie ma pikanterii), trzeba mieć jeszcze „nadzrędną myśl formującą”. Więc autor domyślił bohaterowi skłonności narcystyczne. I wplotł mitologiczny wątek o Narcyzie, synu Kefisosa i Li-riopy (dobra taka powtórka z mitologii) w opis wypadków o charakterze najnormalniej krakowskim. Wplotł, jak twierdzi obwołana „zrecznica”. Po trzykroć prawda. Za gorsze rzeczy się chwaliło. Tylko mimo wszystko w bohaterze „Narcyza” Narcyza nie widzimy. Zaskoczyła dostrawiana książkę się po kawalku smakuje; z drugiej — na próżno oczekuje tego zamknięcia koła, które wynika z konsekwentnego domyślenia postaw, postaci, wątków.

Można tak? Można. Może to i jakiś nowy try współczesnej prozy zdecydowanie już zostawiającej za sobą wiek dziewiętnasty. Ale oświadczenie zawsze wolałbym mieć pewność, czy bohater powieści odwiedził mnie jako gość będzie pil podana herbatą, czy wyleje ją do wazonika załadawczy wywaru z pietruszki.

Ijon

BIG-BEAT

Pociąg-widmo

PANIE Redaktorze! Moi rodzice, chociaż ogólnie narzekają na czasy przedwojenne, twierdzą, że co jak co, ale pociągi kursowały wówczas z niewyłąk punktualnością, na podstawie ich obserwacji można było nawet regulować zegarki!

Bałbym się obecnie ów eksperyment powtarzać. Zaraz powiem Panu Redaktorowi, dlaczego.

13 bm. jechałem z Lublina do Chełma. Według rozkładu jazdy pociąg miał wyruszyć o godz. 15.31. Jest godzina 15.40 — stojmy 15.50 — stojmy. 16.00 — stojmy. Niektórzy pasażerowie chcą się już przesiadać do drugiego pociągu, który stoi na sąsiednim torze i ma odejść o 16.15. Hazardziści zaczynają się zakładać: ten czy tamten ruszy szybciej?

Rozwiązanie zagadki następuje o godz. 16.05. Jednak my pierwsi. Wszystko się może zdarzyć. Ale przecież na stacji jest megafon. Czy tak trudno przeprosić pasażerów, uspokoić, wyjaśnić przyczynę awarii!

Przykład, o którym wyżej, nie jest, niestety, odosobniony. Przed kilkoma tygodniami czekałem na przyjazd kolegi z Warszawy. Według planu pociąg pośpieszny z Warszawy miał przybyć do Lublina o 23.50. Przybył... po północy. Również nikt nie raczył przeprosić, czekających na peronie, poinformować o przyczynie i o przewidywanym czasie opóźnienia. Ba — nic na ten temat nie mogli również powiedzieć sympatyczny skądinąd urzędnik Biura Obsługi Podróżnych. Da-

remnie usiłował gdzieś się dowiedzieć. Telefon nielazał jak zaklęty. Panie Redaktorze, po co właściwie jest Biuro Obsługi Podróżnych? Bilet kolejowy może kupić i w innym okienku. Bez dopłaty...

Daleki jestem od tego, aby pościpląć całą szanowną instytucję, jaką jest kolej. Znam ofiarność jej pracowników. Zwiastują w okresie zimowym, kiedy trzeba, nie zważając na silny mróz, zamieć, oczyszczać tory kolejowe ze śniegu, rozgrzewać zamarznęte zwrotnice. Czapki z głów! Niepokoj mnie jednak ta beztraska, z jaką personel dworca lubelskiego podchodzi do podróżnych. Kupileś bilet? No to cześć! Kolej nie ma potrzeby się tłumaczyć. Ale wydaje mi się, że warto by było wytłumaczyć wspomnianemu personelowi, że taka postawa to swoisty sposób himbana.

Gdy wreszcie ów pociąg-widmo raczył wyruszyć do Chełma, natychmiast w wagonie pierwszej klasy zjawilo się dwóch kontrolerów. Jeden z jednego, a drugi z drugiego końca wagonu zaczęli sprawdzać bilety. Byli bezwzględni, nie oszczędzili nawet starszej

pani, która tłumaczyła się, że przez pomyłkę wsiadła do wagonu pierwszej klasy. Ta pomyłka kosztowała ją ponad 30 złotych. Kto nie miał pieniędzy — pokazywał dowód osobisty. Kolej znajduje sposób, aby wyegzekwować należność.

Zadnego jednak z owych groźnych kontrolerów nie rzalił fakt, że z powodu opóźnienia tłok w drugiej klasie był tak wielki, że nie można tam było wstąpić przyswojowej szpilki. Po prostu część ludzi, która miała jechać o 16.15, wolała wyruszyć o 19 minut wcześniej.

Rozumiem — musi być porządek, są jednak nadzwyczajne okoliczności, kiedy można, moim zdaniem, przymrużyć oko. Za papierkami warto widzieć człowieka.

Historie już bym zamknął, ale muszę jeszcze nadmienić, że żaden z owych groźnych kontrolerów nie znalazł przyczyny półgodzinnego opóźnienia pociągu. Czy to ich samych nie interesowało? Czyżby tego typu wypadki zdarzały się codziennie?

Zaniepokojoy

Jacek

NOTY i notki

„PRACUJĄCY BOHATER W POLSCE? Fel cóż za obrzydliwość!” — wybrzydza Al. Małachowski we „Współczesności” (nr 12), bolejąc nad tym, że „podstawa popularności bohaterów Sienkiewicza jest to, iż żaden z nich nigdy nie hańbi się pracą. Nie pracują także Pancerni i kapitan Kłoss”. A nam się wydaje, że wojowanie lub działalność wydawstwa to bardzo ciężka praca, że potrzebne tu są i wysiłek fizyczny i myślenie i ryzykowanie życia. Wzywamy na świadków pracowników Żalutkiego i Przymanowskiego.

NIEPOKOJĄCE WIENCI serczy się o anatomii popularnego z telewizji „Świętego”. Otóż z 34 odcinka powieści „Król żebraków” (to Temples), drukowanej w „Słowie Ludu” dowiedzieliśmy się m. in.: „poniżej żeber poczuł dobrze znane sianie”. O ile pamiętamy, taką czynność uprawia się nie poniżej, ale na wysokości żeber, no i nie u osobników płci męskiej.

OJCIEC MALACHIASZ z „Tygodnika Powszechnego” wyjechał na pół roku poza granice kraju. Miłego pobytu „sous les toits de Paris” — jak zapowiada — było to nie były dachy placu Pigalle. A jego zastępca na ten okres ks. Adam wyznaje już w pierwszym felietonie: „w problemach liturgii jestem dyktantem, a w sprawach związanych z ceremoniami liturgicznymi mam kompleks”. Czego w takim razie uczyć w seminariach duchownych?

WYJĄTKOWO CIĘZKO zapowiada się nam rok bieżący. „Zycie Warszawy” (nr 135) donosi bowiem na 1 stronie: „Elektryfikacja odcinka Kielce — Dęblin zakończona będzie do końca br. w 1968 r.”. Ciekawo nas, kiedy zostanie zapoczątkowany początek 1963 r. i czy rok 1967 będzie trwał jeden rok czy dwa lata.

„OSTATECZNIE, JEŚLI HEMINGWAY pisał o polowaniach, to czemu by zawodów strzeleckich nie zatytułować do kultury?” — pyta w „Życiu Literackim” (nr 24) Tadeusz Robak. Wprowadzić nieco